



W kalifornijskim mieście Salinas odbywa się rokrocznie ujeżdżanie byków. Doświadczeni cowboy'e twierdzą, iż jazda konna jest w porównaniu ze sportem tym igrząską

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

RĘCE.

Jedną z największych dolegliwości zimowych, jest czerwienienie i chropowatość rąk. Z chwilą nadejścia chłódów, nawet najładniejsze ręce wymagają starannej pieczy. Aby przez całą zimę rączki były idealnie gładkie i białe, trzeba zaraz po umyciu, nie wycierając zupełnie do sucha, jeszcze w wilgotne ręce wetrzeć troszkę kremu *Pâte de prelats perfection*, który wciera się do sucha i daje wprost idealne rezultaty. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, już po paru dniach nabierają aksamitnej gładkości i delikatności. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to po wtarcu *Pâte de prelats*, przypudrować grubo pyłkiem wybielającym *Juvenia Candida*. Stosując środki powyższe, ręce zimą będą idealnie gładkie i białe, pomimo chłódów i mrozów.

M-me ERCÈDES.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich droguerjach i perfumerjach. Skład główny: *Perfumerja Perfection*, Szpitalna 10 w Warszawie.

T r e ś ć N u m e r u 33-go

	<i>Str.</i>
Złot harcerstwa w Nowym Jorku (9 ilustracji) . . .	5—20
<i>Inż. Z. Kacprowski</i>	
Kanał podmorski (1 ilustracja)	21—24
Książki i Janowa (4 ilustracje)	25—42
Szlifierstwo czeskie (6 ilustracji)	43—50
<i>Janina Szaferowa</i>	
W kraju białych nocy (11 ilustracji).	51—74
<i>Inż. Bolesław Ruśkiewicz</i>	
Citroën, współczesna fabrykacja samochodów (7 ilustracji)	75—90
<i>Z. Kleszczyński</i>	
Mieszkanie (6 ilustracji A. Świdwińskiego)	91—108
Noe nawigator (1 ilustracja)	109—110
Rys i żbik ostatni mohikanie puszczy (2 ilustracji) . .	111—120
<i>B. Szarlitt</i>	
Z za kulis operowych (14 ilustracji)	121—148
<i>Rudyard Kipling</i>	
Znak zwierzęcia (5 ilustracji)	149—166
Z teki humorysty	167—170
Rozrywki umysłowe (6 ilustracji)	171—180

Oktadkę trójbarwną wykonał p. Koźmiński

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122—14

Telefon ekspedycji 104-32

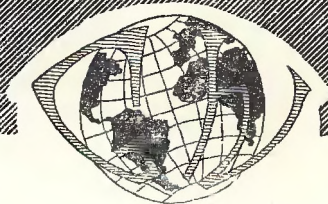
Redakcja przyjmuje interesantów codziennie od godz. 13 do 16

Administracja czynna od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką wynosi 6 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAKOŁO ŚWIATA





Lady Bo'én Powell



Złot Harcerstwa w Nowym Jorku

Nowy-York — Maj 1926 r.

Na rok bieżący, w którym święcimy piętnastolecie powstania skautingu w Polsce, przypadły również dwa ważne dla życia harcerskiego fakty: w dn. 5-19 maja Międzynarodowa Konferencja Żeńska zwołana w Stanach Zjednoczonych, oraz w sierpniu także konferencja organizacji męskich w Kendersteg w Szwajcarii. — Jako delegatka Związku Harcerstwa Polskiego na konferencję w Ameryce, stałam się szczęśliwą wybranką losu, której danem było rzucić okiem na życie organizacji skautowej amerykańskiej.

Przyjechało nas do New-Yorku w dn. 5-tym maja 37 delegatek z Europy — resztę przedstawicieli spotkałyśmy już w St. Zjednoczonych. Z 38 narodów reprezentowanych w Radzie Międzynarodowej w Londynie przybyły następujące: Austria, Belgia, Chiny, Costa-Rico, Czechosłowacja, Danja, Egipt, Finlandja, Francja, Holandja, Japonja, Jugosławia, Luksenburg, Łotwa, Norwegja, Palestyna (drużyny angielskie), Polska, Portugalja, Porto-Ricó, Szwecja, Szwajcarija, Stany Zjednoczone, Turcja, Urugwaj, Włochy, Węgry, Wielka Brytania z przedstawicielkami ko-

lonji: Kanady i Afryki Południowej oraz, jako specjalny gość, ponieważ do Rady Międzynarodowej dotąd nie należą — przedstawicielka Niemiec. I żadna z tych licznych delegatek nie wracała zawiedziona czy rozczarowana, choć przedstawicielki Starego Świata jechały z poważną dozą krytycyzmu do tych siostr z krainy dolara i business'u, jakoby nie umiejących pojąć idei i głębokiego duchowego znaczenia organizacji skautowej. — Nauczyłyśmy się dużo, a Amerykanki dopięły swego celu: pokazały Europie te strony ducha i charakteru, to bogactwo czynu i bezinteresownej pracy, której żadna z nas nie podejrzewała. — Od początku do końca cały nasz pobyt cechowały: doskonała, do najdrobniejszych szczegółów obmyślona organizacja, wielka, serdeczna gościnność ogromne zainteresowanie całego społeczeństwa, do Rządu i prasy włącznie.

Po wylądowaniu zostałyśmy przyjęte przez Komitet Organizacyjny i umieszczone w 18 prywatnych autach, które udekorowane chorągiewkami skautowymi, pod specjalną eskortą policji, torującej nam drogę przez to najruchliwsze miasto na świecie, zrobiły sensację nawet w New-Yorku, który zdawałoby

się niczemu się już nie dziwi, Dzięki zapobiegliwości naszych doświadczonych gospodyń zdołaliśmy w przyspieszonym tempie (jak zawsze: time is money!) zwiedzić Fifth Avenue, brzegi Hudsonu, Central Park i wreszcie przybyć na lunch do jednego z pierwszorzędných klubów nowo-yorskich, gdzie nas przyjmowali przyjaciele harcerstwa. Po lunchu i powitaniu delegatek przez Prezydenta miasta udało się nam

przystąpić, aby wyruszyć statkiem do Bostonu, dokąd przybyliśmy następnego dnia rano. Umieszczono nas w posiadłości skautek Stanu Massachusetts pod miastem, w Cedar Hill. Śliczny ten kawałek ziemi, liczący około 85 akrów, został podarowany dziewczętom wraz z wygodnym i wzorowo zagospodarowanym domem mieszkalnym, zabudowaniami, niewielkim stawem i ogrodem, przez ś.p. Cornelię Warren, która w całej rozciągłości poznawszy znaczenie idei skautowej, chciała dopomóc i ułatwić wcielenie jej w życie. Przebywają tam teraz, w malowniczej okolicy, wśród

cedrami porośniętych pagórków, obozy skautowe dla skautek różnego wieku i stopnia. Dzięki opiece i wzorowemu urzędzeniu z obozów tych mogą korzystać już dziesięcioletnie dziewczynki i spędzić w zdrowej atmosferze i na świeżym powietrzu parę tygodni, czy nawet miesięcy, zależnie od ochoty. Spędziłyśmy w Cedar Hill przemiłe, niezapomniane trzy dni, robiąc autem wycieczki do miasta i w okolicy. Zwiedziłyśmy w ten sposób szereg prywatnych domów amerykańskich, zawsze dla cudzoziemca ciekawych, które wyrwały

sobie wprost „egzotycznych gości”. Zwiedziłyśmy Uniwersytet Harwardzki, który mimo iż jak złośliwi twierdzą nie posiada „profesorów, ale za to taką bibliotekę i pomoce naukowe, że nawet w szlachetnym podobno sercu harcerki muszą one wywoływać uczucie zazdrości. Najwięcej zaimponowała mi biblioteka z oddziałem dla dzieci, gdzie przy niskich stolikach siedzą zaczytani i niepomni

na świat cały mali goście, żyjąc życiem bajki, podanej tu w bogatej szacie pięknych wydań i ilustracji. — Drugą rzeczą, która nas wprawiła w podziw i zachwyt, to jedyna w swoim rodzaju kolekcja kwiatów i roślin w oddziale przyrodniczym uniwersytetu, gdzie wszystkie okazy flory amerykańskiej są do najdrobniejszych szczegółów skopjowane wszędzie, do poszczególnych części roślin i przekrojów do studjów botanicznych potrzebnych włącznie Kwiaty, umieszczone w gablotkach, tak do złudzenia naśladują naturę, z pyłkiem na najdrobniejszym przeciku i soczystym, wilgotnym połyskiem li-



Delegacja polska na międzynarodową konferencję harcerską

ścia, że jest to bodaj największe dzieło sztuki, jakie widziałam, nieskończenie piękne, pomijając już wartość naukową. Tajemnicze tej fabrykacji posiada dwóch ludzi, ojciec i syn Blaschka, rodem z Czech, i strzegą jej podobno zazdrośnie, a cała kolekcja, licząca przeszło 3.200 okazów, jest wyłącznie ich dziełem, wykonanem bez żadnego pomocnika w ciągu ostatnich lat trzydziestu.

Stan Massachusetts jest najbardziej skautowym stanem Ameryki i posiada skautek mniej więcej tyle co cała Polska, to też



Przedstawicielki skautingu w strojach narodowych

z prawdziwą przyjemnością i zaciekawieniem byliśmy obecni na dorocznym raporcie, składanym przewodniczącej S. L. Arnold przez władze skautowe Massachusetts, a następnie na wielkim popisie w bostońskiej arenie, w którym brało udział około pięciu tysięcy dziewcząt. Pokazano nam w sposób miły i obrazowy skautki w domu, w klinice dziecięcej, przy służbie sanitarnej i opiece społecznej. Śpiewy chóralne i tańce w średniowiecznych kostiumach, w których brało udział około 500 dziewcząt, robiły nadzwyczaj miłe wrażenie, ale bodaj najczęściej za imponowały cudzoziemkom dziewczęce orkiestry, gorsząc nawet trochę delegatki, jako „zwrot do militarystyki w harcerstwie”. Osobiście podziwiałam je szczerze od chwili wstąpienia na ziemię Ameryki, gdyż wesołe dźwięki trąb i bębnow witały nas już na przystani, nie w Bostonie, mając przed oczami ćwiczenia tej orkiestry prowadzone przez piętnastoletnią może dziewczynkę, nie mogłam wprost wyjść z podziwu. Może być, iż jest to trochę..., amerykańskie, ale nie przy-

puszczam, aby było dla idei skautowej groźne, a takie sprężyste i wesołe!

Dnia 9-go maja przybyliśmy do tonącego w zieleni Washingtonu. Zostałyśmy tam rozmieszczone w domach prywatnych. Osobiście miałam prawdziwą przyjemność dostania się „na kwaterę” do pp. Hoover’ów i bliższego poznania tych wyjątkowo kulturalnych ludzi. Mrs Hoover jest jedną z najdzielniejszych działaczek skautowych w Stanach Zjednoczonych i mimo siwych włosów specjalistką od obozów, w których spędza większą część roku, z zapalem chwytając sceny z życia obozowego na film swego Pathé-Baby, z którym nie rozstaje się nigdy. Duży, wygodny dom pp. Hoover, stojący w pełnym starych drzew ogrodzie, jest zawsze gościnnie dla skautek otwarty. Klatkę schodową i hall zamiast zwykłych w domach angielskich i amerykańskich sztychów, dekorują dziesiątki i dziesiątki adresów dziękczynnych, ofiarowanych Hooverowi — „żywicielowi Europy”. Polskie adresy stanowią bardzo pokaźny procent, — Wieczorem, w oświetlonym lampje-

nami ogrodzie, wszystkie delegatki były przyjmowane przez pp. Hooverów na obiedzie, po którym chór dziewcząt murzyńskich, istot obdarzonych najpiękniejszymi głosami świata, sprawił nam prawdziwą ucztę duchową.

Poza zwykłym zwiedzaniem miasta, gdzie obejrzaliśmy Kapitol, będąc obecne na posiedzeniu Senatu, znowu wspaniała bibliotekę, dziesiątki imponujących gmachów państwowych i pomników oraz nadzwyczaj ciekawe Pan-amerykańskie Muzeum, odbyłyśmy też pielgrzymkę do grobu Nieznanego Żołnierza i zostałyśmy przyjęte przez pp. Colidge w Białym Domu, stając się łupem gromady fotografów i przedsiębiorców kinowych, którzy nas zresztą ani na krok przez cały czas pobytu w Stanach nie opuszczali.

Przed wyjazdem Washingtonu spędziłyśmy wieczór w „Domu Skautek”, małej słicznej zabawce, gdzie na młodziutkie gosposie przyjmowały własnoręcznie przyrządzoną kolację. Domek ten mieści na parterze, prócz zaopatrzone we wszelkie udogodnienia kuchni, pokój jadalny bawialnię a na pierwszym piętrze dwa pokoje gościnne i wzorowo urządzoną „nursery”, gdzie dziewczynki uczą się obchodzić z niemowlętami. — Ponieważ Stany są zbyt wielkie, aby można było administrację scentralizować w jednym mieście, więc większość ich posiada swoje własne Główne Kwatery, podlegające Naczelnej Głównej Kwaterze w Nowym Yorku. Biura skautowe mieszczą się zwykle we własnych domach, na których powiewa chorągiew skautowa, a parter przeważnie zajmują w nich restauracje skautowe, przynoszące dochody organizacji i kształcące dziewczęta w umiejętnościach gospodarczych. Odwiedziwszy takie restauracje w Bostonie i Washingtonie, nabrałam o nich jaknajlepszego pojęcia.

11-go mała powróciłyśmy do Nowego Jorku, aby udać się do Camp Edith Macy, o 30 mil od miasta odległego, gdzie miała się odbyć właściwa konferencja. Przybyłyśmy tam przed wieczorem. Jest to druga posiadłość skautowa, jaką zwiedziłam, licząca przeszło 200 akrów, a ofiarowana dziewczętom przez Mr. Macy, jako uczczenie pamięci jego zmarłej żony, Edyty, bardzo idei skautowej oddanej i czynnie dlań pracującej. — Na specjalną prośbę delegatek umieszczono nas w namiotach, zaopatrzonych jednakże w łóżka sprężynowe i krany z ciepłą i zimną wodą do



Skaut naczelny sir Robert Boden Powell przy sadzeniu swego drzewka w „Alei Narodów”

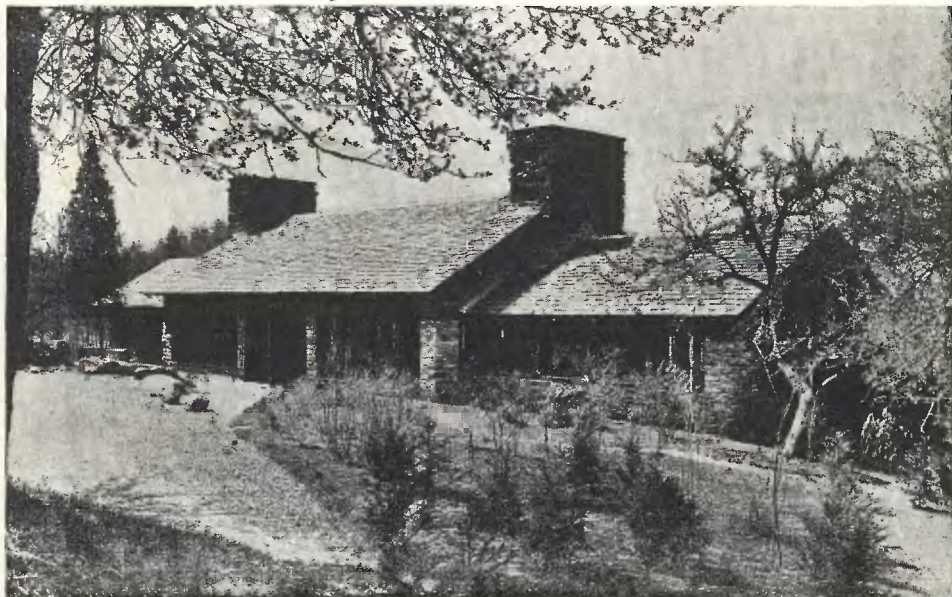
mycia. — Konferencja została otwarta przez Lady Boden Powell, żonę założyciela skautingu, Sir Roberta, który nas również później w obozie odwiedził. Każdy kraj znalazł przygotowany swój sztandar i dzień rozpoczynano zawsze defiladą i oddaniem honorów barwom narodowym. Pierwszego wieczoru miała miejsce ceremonia rozpalenia ogniska obozowego, do którego przystępowały kolejno wszystkie delegatki ze sztandarami i, dorzucając wiązkę chróstu do ognia, oznajmiały, co ich kraj przyniósł światu i czem przyczynił się do ogólnej kultury i dobrobytu ludzkości. Nie mogę powiedzieć, aby zdania te były zawsze szczęśliwe. Pol-sce proponowano, aby „przyniosła światu” muzykę, o który to zaszczyt zaczęły również ubiegać się Niemcy, Czechy i Finlandja. Że jest na świecie Ignacy Paderewski, o tem wie absolutnie każdy Amerykanin, ale też

na tem zwykle kończy się ich znajomość z „country of Paderewski”. — Powiedziałam o znaczeniu „przedmurza Chrześcijaństwa” i ogniska cywilizacji, jej ostoju na Wschodzie, którą od wieków jest Polska, i miałam tę satysfakcję, że nikt nie powiedział tego samego, podczas gdy do posiadania muzyki, ziarna i doskonałego ustroju parlamentarnego przyznawał się cały szereg państw.

Na konferencji, prócz oficjalnych raportów wszystkich krajów i załatwieniu szeregu spraw technicznych, dotyczących międzynarodowych stosunków skautowych, wygłoszono kilka nadzwyczaj ciekawych referatów, któ-

res Fundacji Rockefellera. — Wreszcie Mrs. Jane Deeter Roppin, dyrektorka ruchu skautowego w St. Zjedn. mówiła „O jedności skautingu, jak ją uchronić i utrzymać na terenie lokalnym i narodowym”.

Odbывая z obozu szereg wycieczek, miałyśmy sposobność widzenia jeszcze jednego popisu skautowego w okręgu Westchester, który miał zupełnie inny charakter niż podziwiany przez nas w bostońskiej arenie. Przedewszystkiem zorganizowany był wyłączenie przez dziewczęta bez pomocy i rad starszych, dał nam doskonały obraz zaradności, pomysowości, a także, trzeba przyznać,



Wielki hall w oborze, gdzie odbyła się konferencja

rych tematy przytaczam: „Skauting dla dziewcząt, jego wczoraj i jutro i jego szeroki pogląd na świat” — Lady Boden Powell. — „Poglądy i horoskopy międzynarodowe” — Mrs. Essex Reade, przewodnicząca Rady Międzynarodowej w Londynie. — „Skautki w obozie” — Mrs. Herbert Hoover. — „Skauting międzynarodowy i dobro dziecka” — Dame Katharine Furse, przedstawicielka interesów młodzieży i nasza gorąca popieczniczka w Lidze Narodów. — „Znaczenie zdrowia w życiu narodów i wpływ na nie ruchu skautowego” — Dr. Georges E. Vincent, pre-

zobowczego i śmiałego charakteru skautek amerykańskich.

A teraz kilka słów refleksji i porównania. Harcerstwo żeńskie przedstawia się w cyfrach, jak następuje:

Wielka Brytania	370.860	skautek
Kolonje	70.410	„
St. Zjednoczone	115.926	„
Inne kraje	56.013	„

Z tej ostatniej pozycji przypada na Polskę 16.000 skautek, która to cyfra zmniejszyła się obecnie do 13.000, tylko z powodu braku kierowniczek. Cyfry mówią za siebie,

jesteśmy krajem, posiadającym młodzież, zdrową i do pracy chętną, młodzież, która ducha harcerskiego rozumie i która umiała zachować jedność naszej organizacji, co parę zaledwie krajów potrafiło. We Francji np. jest dwie zalegalizowane organizacje żeńskie i pięć męskich! — Ani chwili przez cały czas pobytu w wielkiej Ameryce nie czułam się upokorzoną, czy zawstydzoną, wprost przeciwnie, byłam ze Związku Harcerstwa Polskiego dumna, że w naszych warunkach tyle zdziałać potrafi. Inna jednakże rzecz napęłnia serce goryczą: dwa najsilniejsze państwa świata zrozumiały, że przyszłość na-

interesownie i z zupełnem oddaniem dla skautingu żeńskiego. Kilka nazwisk z pośród nich już przytoczyłam, dodać muszę, że rekrutują się one tak z pośród milionerek, żon potentatów rządowych, jak i drobniejszej burżuazji. — Ile takich kobiet jest u nas? może kilkanaście, przepracowanych społeczniczek, które na wszystko muszą czas znaleźć. Resztę pracy prowadzą dzieci i jesteśmy zmuszeni zamykać szeregi skautów z braku kierowników. Patrząc na solidarność Ameryki i pomoc, jaką niesie swoim skautom, miałam tylko jedno marzenie: obywatelstwo polskie mogło zrozumieć, co



Wnętrze wielkiego hallu

rodu zależy od wychowania obywateli. prawda stara, która jakże martwym dźwiękiem jest u nas, jeżeli chodzi o harcerstwo! — Rozmawiając kiedyś z jednym z wysoko postawionych naszych potentatów, tytularnym protektorem harcerstwa, usłyszałam zdanie: „Harcerstwo dla nas to luksus, droga pani, równie jak sztuki piękne”. — Było to jeszcze przed moim wyjazdem do Ameryki, teraz bardziej niż kiedykolwiek musi się wydawać to zdanie krótkowzrocznem. — W Ameryce jest około 12.000 kobiet, pracujących bez-

musi dać swej młodzieży, aby za lat dziesiątek móc od niej wymagać dobrego pełnienia obowiązków wobec kraju i rodziny.

Nie mogę w końcu nie wspomnieć o sympatji prasy i jej dla skautingu współdziałania. Nieraz wprowadzie stałe się nami opiekująca bracia dziennikarska, szczególnie gdy chciała się dowiedzieć „szczegółów o obecnej sytuacji w Polsce” działała mi na nerwy razem z paszczami aparatów fotograficznych, ale jednak jakżeby się choć trochę tego za interesowania u nas przydało!



Bazar polskich wyrobów artystycznych na konferencji

Z dziećmi polskimi w amerykańskich drużynach zetknęłam się parokrotnie. Nie wiem czy przez uprzejmość dla oficjalnej delegatki, ale wyrażano się o nich z uznaniem i pochwałą. Zgoła nieoczekiwanie oznajmiła mi jedna z kierowniczek drużyny pod Bostonem, że Polki odznaczają się czystością i starannem utrzymaniem domów w przeciwstawieniu do innych narodów. Inna, mając zakładać drużynę w polskiej szkole, prosiła o przysłanie naszych programów i podręczników, gdyż chce dziewczęta poprowadzić jaknajbardziej w duchu polskim. Trudno o dalej posuniętą lojalność!

Pokazano nam w Stanach Zjednoczonych wszystko: piękną naturę, śmiejące się cottage'e pod Bostonem, malownicze brzegi Hudsonu i Potomaku, piękne parki, nawet wodospady Niagary, do których zdołałyśmy jeszcze zajrzeć w drodze powrotnej. Wspaniałe gmachy publiczne, uniwersytety, biblioteki, hotele o nieprawdopodobnej ilości pięter, Rząd, Senat, Prezydenta, biura skautowe i skautową organizację, młode dziewczęta i ich kierowniczki, Pokazano nam domy miljonerów i przyjęcia u Rockefellerów i Rothschildów, pokazano najmądrzejsze i najdzielniejsze kobiety kraju, z którymi niewiele

Europejek mierzyć się może. I wszystko to zdołano zrobić przez dwa tygodnie! Trzeba przyznać, że reklama w Ameryce kwitnie, nie tylko wśród tysięcy lamp elektrycznych na Broadway! Dla tej patryjotycznej, tak szeroko i rozumnie ujętej, jestem z pełnym uznaniem.

Duże zainteresowanie wzbudziła wystawa polska, którą zabraliśmy do obozu. Lalki w ludowych strojach, hafty, wstążki, pisanki, wycinanki i piękne fotografie były rozchwytywane. mam nawet obstalunki.

Zofja de Callier.



Kuchnia polowa



Wnętrze kanału

Inż. Z. Kacprowski

Podziemny kanał morski

W tych dniach zakończono pierwszą serię robót, związanych z wykonaniem jednego z największych dzieł sztuki inżynierskiej, doby współczesnej.

Chodzi tu, mianowicie, o wielki kanał podziemny, przebitý w skale pod Marsylją, i będący, jak powiedzieliśmy, dopiero pierwszym ogniwem w potężnym łańcuchu, który drogą wodną ma połączyć bogatą, pulsującą życiem Marsylję z niemniej kwitnącym handlowo Rotterdamem, a zatem morze Śródziemne z Północnem, skracając do jednej czwartej zwykłą drogę morską naokoło zachodnich brzegów Europy. Znaczenie ekonomiczne tej nowej drogi wodnej jest oczy-

wiste bez bliższych komentarzy. Największe jednak korzyści wyciągnie z niej Francja, gdyż, wytwarzając tanie i wygodne połączenie ruchliwego portu Marsylijskiego z wnętrzem Europy zachodniej, zjawi się tem samem na wielu rynkach handlowych obsługiwanych dotychczas przez sąsiadów.

Nietylko jednak ekonomistę może interesować projekt ten, zakrojony na gigantyczną skalę. Techniczne szczegóły wykonania, choćby pierwszej części jego, t. j. nowoprzebitego tunelu pod Marsylją, są niemniej ciekawe.

Kanał ten długości przeszło 7 kilometrów łączy port Marsylii z jeziorem Berre, stano-

wiacem właściwie lagunę morską, otwierając bezpośredni dostęp do Port-de-Boue, czyli do ujścia Rodanu.

Charakterystyczne jest proroctwo pewnej kapłanki z Halikarnasu, z przed 2700 lat, która przepowiedziała wychodźcom z Focei, założycielom antycznej Marsylii, że mieszkańcy tego miasta połączą się „wspaniałym pierścieniem” z laguną morską.

W czasach późniejszych podobna myśl powstała w szesnastym stuleciu, za panowania Ludwika XII-go, ale na przeszkodzie ku jej urzeczywistnieniu stały braki ówczesnej niedoskonałej techniki, gdyż dla przeprowadzenia kanału trzeba było przebić tunel pod łańcuchem górskim de l'Estaque, przedstawiającym zwarty masyw, szerokości 8 kilometrów i wysokości 270 metrów.

Dopiero współcześni inżynierowie mogli odważyć się na taką imprezę.

W styczniu roku 1916, rozpoczęto przebijanie tunelu o szerokości 22, wysokości 16 i długości 7266 metrów, który obecnie, już wykończony, może przepuszczać, dzięki swym rozmiarom, statki o pokaźnym tonażu. Budowa kanału wymagała usunięcia 2 i pół miliona metrów sześciennych ziemi i kamienia, podczas gdy przy budowie

tunelu Simplonńskiego, długości około dwudziestu kilometrów — cyfra ta wynosiła tylko półtora miliona metrów sześciennych. Tłumaczy to się wielkimi wymiarami przekroju kanału marsylijskiego.

W związku z tą konstrukcją przewidywane jest osuszenie małego jeziora Bolmon, leżącego u północnego wylotu kanału. Na odzyskanie w ten sposób terytorjum ma powstać nowe miasto przemysłowe, powołane do życia przez wzmocniony ruch handlowy.

Będzie to naturalny wyraz wielkiej ekspansji, jaką niezaprzeczenie spowodować musi otwarcie kanału.

Widok wnętrza ostatniego przedstawiony jest na załączonej rycinie. Poziom wody będzie utrzymany na linii wierzchołków arkad, których szeregi widzimy po obu stronach. Koszt wzniesienia tej niezwyklej konstrukcji wyniósł 220 milionów franków.

Następny okres robót ma objąć regulację rzek i kanałów, realizujących wspomniany projekt wielkiej drogi wodnej Marsylja — Rotterdam, drogi, która według obrazowego określenia niektórych ekonomistów i techników, ma przeciąć „przesmyk europejski”.



Książki i Janowa

Nowela wyróżniona na konkursie «Naokoło Świata»

Gedło «Miarka za miarkę»

Kilkakrotnie musiałem nacisnąć dzwonek, zanim drzwi zostały otwarte. Ku memu zdziwieniu na progu stał sam Miączyński.

„Przepraszam cię bardzo, żeś tak długo musiał czekać, ale służąca wyszła, a ja zdrzemałem się trochę. Dlaczego tak dawno cię nie widziałem?” Zapytał po chwili z niebywałą, jak na niego, uprzejmością.

Przyjęcie to kompletnie mnie oszołomiło: nie byłem przyzwyczajony do takiej serdeczności z jego strony. Łączyło nas wprawdzie wspomnienie przyjaźni z lat dziecińczych, ale od tego czasu tyle wody upłynęło, tyle niechęci zebrały się między nami. Nie cierpieć manjaków a Miączyński i jego biblioteka... Wystarczało poprosić go o pozwolenie przeczytania jakiegokolwiek z jego książek albo nawet tylko przyjść do niego, by narazić się na niegrzeczność z jego strony. Prostu podejrzewał każdego o złe zamiary względem swego zbioru i nie zadawał sobie najmniej szego trudu dla ukrycia swoich podejrzeń. Każde jego spojrzenie, każdy ruch niemal mówił wyraźnie niepożądanemu gościowi: „Jesteś złodziejem”, a ironiczne półsłówka, kunsztowne niedopowiedzenia nie mogły nawet wyjątkowo niedomyślnemu człowiekowi zostawić najmniejszych wątpliwości co do tego, jak Miączyński zapatruje się na jego wartość moralną.

Alle dziś zachowywał się zupełnie inaczej, niż zwykle. Był rozpromieniony, wesoły, uprzejmy i szczerze zadowolony z moich odwiedzin. Bez żadnych trudności wprowadził mnie do jednego ze swych bibliotecznych pokoiów, wyszukał natychmiast potrzebne mi bro-

szury i wreszcie zaproponował pożyczanie ich do domu. Zaniepokoiłem się nie na żarty.

„Stanisławie!” rzekłem uroczyście, wstając i biorąc go za rękę, „nie jestem lekarzem i nie znam się na chorobach... nerwowych. Ale czy nie widzisz od czasu do czasu czerwonych myszy, czy nie odczuwasz potrzeby szczekania? Czy nie wydaje ci się, że jesteś cesarzem chińskim”.

Roześmiał się głośno i wesoło.

„Nie masz pojęcia o objawach obłąkania, inaczejbyś, przy mojej przysłowiowej abstynencji, nie wspominał o czerwonych myszach, które występują przy delirium tremens. Zresztą uspokój się, mój drogi! Jestem zdrowy tylko bardzo, bardzo szczęśliwy!”

„Żenisz się?” zapytałem trochę niepewnie, bo doprawdy nie mogłem wyobrazić sobie kobiety, zdolnej wzbudzić choćby cień zainteresowania w sercu Miączyńskiego.

Wzruszył ramionami, nie racząc nawet odpowiedzieć.

„Kupiłeś za psie pieniądze jakiegoś białego kruka”. Zgadywałem dalej: „Zostałeś mianowany bibliotekarzem w British Museum”.

„Eh! co tam cudzych książek pilnować, gdy się ma własne. Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre”.

„Jaki tam petit! Piętnaście tysięcy tomów”.

„Tylko 13.527”. Odpowiedział skromnie. „Z pomocą Boską dociągnę może z czasem do 15.000. Ale mniejsza z tem. A teraz ołśnię cię ostatecznie. Każę podać herbatę z ciastkami. Przyznaj, że tego się nie spodziewałeś?”

„Prędzej wybuchu wulkanu w Warszawie.”

Miączyński zadzwonił, do pokoju weszła niemłoda kobieta o miłej powierzchowności. W jednej chwili zrozumiałem wszystko.

„Aha! Pozbyłeś się Janowej. Dlatego rozpromieniona twarz, dlatego propozycja pożyczania książek, dlatego herbata z ciastkami. Jaki sąd był o tyle łaskawy i rozsądny, że cię uwolnił od tego potwora”.

„Sąd, po którym się już żadnej apelacji, ani kasacji obawiać nie potrzebuję. Sąd Boski”.

„Umarła?”

„Właśnie”.

„Co jej było?”

„Hm, co jej było? Spotkała ją kara boska za jej liczne zbrodnie. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, mówi stare przysłowie, a przysłowia, to mądrość narodów, albo i objaw ich głupoty. Może Marjanna postawić herbatę na stole i odejść, sami sobie usłużymy”. Zwrócił się do służącej. „Zresztą, mój drogi, wszystko jedno na co chorowała. Grunt, że mniej więcej miesiąc temu miałem przyjemność odprowadzenia jej na cmentarz”.

Nie jestem specjalnie wrażliwy, ale głębokie zadowolenie, z jakim słowa te zestały wypowiedziane, dotknęło mnie niemile. Mimo woli odsunąłem się od Miączyńskiego i spojrzałem na niego z niechęcią.

Spostrzegł to natychmiast.

„Oho, widzę, że nie podoba ci się mój brak hipokryzji. Wolałbyś zapewne, bym, przewracając oczyma, oświadczył ci z ciężkiem westchnieniem, że śmierć tego szkodliwego bydłęcia dotknęła mnie głęboko, bym, zalewając się łzami... „tu wyjął chustkę od nosa przytknął ją do jednego oka, podczas, gdy drugie patrzyło na mnie z prawdziwie djabełską złośliwością” wyznał ci, że dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo nie zawsze znośłem krzyż, który mi Bóg zesać raczył w postaci tej wiedźmy, z należytą chrześcijańską pokorą.

„Nie błaznuj!” przerwałem mu trochę zniecierpliwiony. „Należy we wszystkim utrzymać miarę”.

„Jaką?” zapytał. „Nie, mój drogi”, dodał po chwili, widząc, że mu nie odpowiadam. „Nie mów mi o mierze, gdy jestem bezmiernie uradowany. I nie żałuję niczego, oprócz czasu, straconego w niedoskonałych sądach ludzkich. Należało od razu zwrócić się do Najwyższego Sędziego, który jak wiadomo, dopomaga każdemu, kto sam sobie pomoże”.

„Przepraszam, ale jak to mam rozumieć”.

„Jak ci się podoba”.

„Szczzerze powiedziawszy, mógłbym z twoich słów wyciągnąć wniosek, żeś zamordował Janową, pokrajał na kawałki i wyekspedjował w koszu do Ameryki”.

„Czyś zwarjował? Nie mówię, gdybyśmy mieli sądy przysięgłych, toby mię prawdopodobnie uniewinniły, ale ryzykować dla takiej Janowej 10 do 12 lat ciężkiego więzienia!.. Niema głupich! Jestem w porządku z prawem, tak mi się przynajmniej zdaje. Chociaż nie przeczę, że pomogłem babie do przeniesienia się na tamten świat”.

„W takim razie musiałeś wejść w kolizję z prawem. Oczywiście mogą być okoliczności łagodzące, ale chyba sam wiesz, że zabijać niewolno”.

„Ale wolno mi dla obrony mojej własności trzymać np. psy, choćby dość silne i złośliwe, by przy okazji zagryzły człowieka. Wolno, moja ty przyszła gwiazdo sądownictwa polskiego”.

„O ile ostrzeżesz wszystkich o grożącym niebezpieczeństwie”...

„Janowa była ostrzeżona, nawet przy świadkach, więc jeśli ją moje psy rozszarpały”...

„Jakto, trzymałeś tutaj psy dla obrony przed Janową”

Roześmiał się znowu.

„Jesteś dzisiaj dziwnie niedomyślny... Mówię w przenośni. Ale widzę, że jeśli ci tyle powiedziałem, to najlepiej zrobić, gdy opowiem ci z wszystko. Choćby dla zasięgnięcia twojej opinii, jako prawnika, czy czyn mój podlega karze. O, nie mam żadnych wyrzutów sumienia, ani obaw, pytam jedynie z ciekawości”.

Zerwałem się z krzesła.

„Dość tej rozmowy! Przypuszczam, że to, co zrobiłeś, nie jest tak niewinne, jak sobie wyobrażasz... A ja nie chcę, ani przez milczenie stać się współnikiem twojej zbrodni, ani oskarżać człowieka, który”...

„Był twoim przyjacielem”, dokończył Miączyński z pewnym naciskiem na słowie „był”, „bo teraz”... Urwał i zamyślił się głęboko. „Nie bój się”, rzekł po chwili, „na wszystko sposób się znajdzie. Daję słowo, że nie postawię cię wobec niemilej alternatywy, a jednak wysłuchasz mojej historii, zresztą, zdaje się, pouczającej. Zbyt wielką mam ochotę na jej opowiedzenie. Akurat dziś, akurat to-

bie. Łatwo się oburzasz. 'Adamie, i taki jesteś wtedy śmieszny. Ale nie odbiegajmy od tematu, to jest od Janowej. Dla jasności zacznę od początku. Na początku była ciotka, niestety moja, niestety pocziwa, niestety lubiąca uszczęśliwiać ludzi cudzym kosztem. W jaki sposób Janowa trafiła do niej, nie wiem, ale ciotka trafiła [do mnie bardzo łatwo. Przyszła, i była, i suszyła 'mi głowę, bym oddał jakimś niestychanie, wprost fantastycznie przyzwoitemu małżeństwu, kuchnię za usługę. Zrobię dobry uczynek, który mi w niebie policzony będzie, a nadto zaoszczędzę pensję i utrzymanie służącej. Bronilem się, jak lew, tak, że trwało wszystko przeszło miesiąc, zanim skapitulowałem, i Janowa z całym swoim inwentarzem żywym, t. j. z mężem, pluskami i karaluchami wprowadziła się do mnie. Dość prędko zaczęłam żałować swej lekkomyślności. Chociaż z początku stanowczo starała się pokazać [w jaknajlepszym świetle, miodowe miesiące, a raczej dnie trwały krótko. Już po tygodniu spostrzegłem, że ze wszystkich kocmołuchów warszawskich, które mnie unieszczęśliwiały od czasu, gdy sam prowadzę gospodarstwo, Janowa była najgorsza, a po dwóch tygodniach dałem jej niedwuznacznie do zrozumienia, że może sobie poszukać innej ofiary. Ale wtedy spotkała mnie niespodzianka nielada, Janowa oświadczyła mi, że się nie wyprowadzi. Sprawa oparła się o sądy, gdzie ku wielkiemu swemu zdziwieniu dowiedziałem się, że moja posługaczka jest właściwie moją sublokatorką. Do dzisiejszego dnia nie wiem, w jaki sposób metamorfoza ta dokonana została, przypuszczam nawet, że nikt tego punktu sprawy dobrze nie rozumiał, ani świadkowie ani adwokaci, ani sędziowie, ale ponieważ u nas gospodarz domu nigdy nie ma racji w stosunku do lokatora, a lokator w stosunku do sublokatora, więc przegrałem sromotnie we wszystkich trzech instancjach. W rezultacie bez żadnej winy z mojej strony, skazano mię na dożywotnie mieszkanie pod jednym dachem z Janową. Podobno dusze szlachetne wspaniałomyślne są względem pokonanych. Jeśli tak, to moja eksposługaczka, a późniejsza sublokatorka do nich nie należała. Triumf swój wykorzystwała w całej pełni, już nawet dla pozorów nie oddawała mi żadnych usług, natomiast kręciła się po mieszkaniu, zabierając bez ceremonji wszystko, co leżało na wierz-

chu, a nawet plondrując w moich szufladach i szafach. Moje skromne zresztą protesty spotykały się z pogardliwym milczeniem, albo ze stekiem obelg, zależnie od humoru jaśnie pani, a gdy doprowadzony do ostatnich granic zamknąłem na klucz drzwi od kuchni, sprowadziła policję, która kazała mi je otworzyć. Chciałem nawet kupić babie jakieś mieszkanie, ale gdy pewna swojej pozycji zażądała trzech pokoiów z kuchnią w centrum miasta, zrozumiałem, że tylko śmierć mię od niej uwolnić może. Jej śmierć, albo moja. Doprawdy, w owych czasach przygnębienia i zdenerwowania myślałem raczej o samobójstwie, gdy nagle zaszedł wypadek, który obudził we mnie całą moją dawną energję, zmusił nieomal do działania. „Nie“... przerwał „Musisz poczekać trochę, jeszcze teraz po tylu tygodniach nie mogę mówić o tem spokojnie“... Przeszedł kilkakrotnie przez pokój, wreszcie zatrzymał się przede mną i ciągnął zmienionym głosem dalej: „Uważasz mię za manjaka, wiem o tem, trwonię w twojem mniemaniu czas, pieniądze i uczucia na rzecz pożyteczną zapewne, ale nie zasługującą na tak wyłączną namiętność, jak moja. Rozumiem doskonale, dlaczego mię nie rozumiesz i nie doceniasz. Niegdyś wielki poeta grecki, opisując jakiegoś pasorzytę, powiedział, że składał się wyłącznie z brzucha i z tego, co się pod brzuchem znajduje. Dosadne wyra-



Był twoim przyjacielem! — dokończył

zenie, ale głęboko i trafnie charakteryzujące nie tylko grubego obrzydliwca, beznadziejnie zakochanego w Dafnisie, lecz i każdego przeciętnego człowieka. Zaspokojenie głodu i popędu płciowego, oto wszystko, do czego dąży znakomita większość ludzi. Dlatego rozumieją i pochwalać ją, czynią, zmierzające bezpośrednio lub pośrednio do tego celu, a potępiają każdego, kto wyłamuje się z pod tego odwiecznego prawa. Ma jeszcze inne pragnienia i ideały. Wszystko jedno, czy będzie to natchniony prorok, czy tylko taki nieszkodliwy dziwak, jak ja. A jednak nie samym chlebem człowiek żyje. A jednak, gdyby nie my, którzy umiemy zdobyć się na bezinteresowne namiętności, ludzkość byłaby po dzień hordą małopoludów, gnieżdżących się na drzewach. Jesteśmy fundamentem każdej kultury, solą ziemi, tymi sprawiedliwymi, dla których nie zostanie zniszczona Sodomia. Cóż dziwnego, że stado ludzkie ma nas w nienawiści i w pogardzie".

„Nie zawsze”, przerwałem, „zapominasz, że są ludzie, jak ty ich nazywasz, bezinteresownych namiętności, którym za życia stawiano pomniki”.

„Zapewne, jeśli przez swą pracę ułatwiali tłumowi spokojne obżeranie się i rozmnażanie... Przecież i ja mówię czasami, że tak powiem, praktyczne zastosowanie. Czy na przykład w tej chwili nie pomagałem młodemu ambitnemu prawnikowi do napisania pracy, która może otworzyć mu drogę do uniwersytetu, zapewni stanowisko i dochody, pozwoli na ożenienie się z młodą, piękną, bogatą panną”.

Rozgniewałem się nie na żarty.

„Jakiem prawem przypisujesz mi wyłączenie tego rodzaju poziome pobudki. Powinieneś być pamiętać z dawnych czasów, że umiem również bezinteresownie pracować naukowo, jak ty zbierać książki”.

„Dawniej, może... Ale dziś... Dlaczego jesteś dziś dla mnie obcy, wrogi niemal. Co stało się między nami, jeśli nie poczucie odrębności, dzielące nas nieprzebytym murem. Nie ja się zmieniłem, jeno ty. Masz dla mnie wzruszenie ramion typowego zjadacza chleba, nie pozostało w tobie ani śladu szacunku dla tego niesłychanego wysiłku, jaki reprezentuje nasza biblioteka. Cztery pokolenia... Nie byliśmy nigdy bogaci. Uświadom sobie, ile ofiar, ile zaparcia się siebie, ile wytężo-

nej woli tkwi w tych książkach. Pamiętasz, jak wyśmiewano się w szkole z naszych wykrzywionych butów i łatanych spodni. Biblioteka już wtedy była warta kilkadziesiąt tysięcy rubli, majątek dla takich nędzarzy, jak my. A później po śmierci ojca, gdyśmy byli na uniwersytecie, gdyśmy przymierali głodem, gdy siostra nasza umarła na suchoty, bo nie było jej za co leczyć... Nie sprzedaliśmy ani jednej książki, ani jednej, nigdy do głowy nam to nie przyszło, nawet Michałowi, który się od nas odrodził i całą duszę wkłada w swą głupią bakterjologię. Przyznaj, że mam prawo być dumny z tego zbioru”.

„Zapewne” potwierdziłem trochę zawstydzony, rozumiejąc doskonale, że dla nikogo i niczego nie byłbym się zdobył na tyle abnegacji.

„Oczywiście jestem tylko dumny z niesłychanej wytrwałości, z jaką zbieraliśmy książki, a nie z samej biblioteki, która, Bogiem a prawdą, niewiele jest warta. Dobrych rzeczy mamy mało, bardzo mało, niestety. Nie byliśmy, jak powiedziałem, nigdy bogaci, a szczególnie przypadki nie zdarzają się, niestety, nigdy...”

„Musiały wam się jednak zdarzać, widziałem w twojej bibliotece kilkanaście rzeczy pierwszorzędnych, za któreście napewno nie zapłacili ceny rynkowej, bo was na nią stać nie było. O ile sobie nawet przypominam, ty sam kupiłeś za psie pieniądze pierwsze wydanie „Flisa” Klonowicza”.

„Prawda. Była to najszcześniejsza chwila w moim życiu. Ale skąd ci właśnie „Flis” na myśl przyszedł. Czy wiesz, że go już nie mam”.

„Sprzedałeś go, zgubiłeś”? Tu zawahałem się i dodałem powątpiewająco „Podarowałeś”?

„Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Pewnego pięknego dnia zauważyłem, że niema go na jego zwykłym miejscu. Przez dwa dni szukałem go na próżno, trzeciego doszedłem do wniosku, że musiała go ukraść Janowa”.

„A niech ją diabli wezmą”, zawołałem poruszony do żywego. „Czyś go odnalazł”?

„Nie!... Szukałem sam i dałem polecenie szukania, ale nic nie znaleziono”.

„Wywieziono go zagranicę”?

„I to nie... Myślałem i ja tak, chociaż od pierwszej chwili wydawało mi się to nieprawdopodobne. Nie wyprzedzajmy jednak



Jesteśmy solą ziemi!

wypadków... Zauważyłem, że i na tobie zniknięcie Flisa zrobiło odpowiednie wrażenie, możesz sobie wyobrazić, w jakim byłem stanie... Nie szło mi już o Flisa, którego uważałem, słusznie zresztą, za straconego, ale jak zabezpieczyć się przed dalszymi stratami. Pozbyć się jej nie mogłem, zamknąć przed nią mieszkania również nie...”

„Dlaczego nie dałeś znać policji?”
 „Zupełnie bezcelowe... Jeszczeby, wobec moich uprzednich procesów z Janową, padło na mnie podejrzenie, że chcę się pozbyć sublokatorki, i mnieby zapakowano do kozy. Nie, o tem nawet myśleć nie mogłem. Prędzej wskazane było przyjęcie kogoś do pilnowania biblioteki. Ale gdzie tu, u nas, zna-

leżć człowieka, który nie kradnie. Musiałbym trzymać kogoś do pilnowania mego stróża i tak dalej w nieskończoność..."

"Więc co zrobisz?"

"Przedewszystkiem zawezwałem Janową na konferencję. Przyszła zuchwała i bezczelna, jak zwykle":

"Janowa ukradła mi książkę" rzekłem zimno. Byłem niesłychanie zdenerwowany, serce biło mi jak młotem, ale udało mi się zachować pozory spokoju.

Mój śmiały atak stropił ją trochę, po chwili jednak odzyskała zwykłą pewność siebie i obysypała mię gradem najwyszukiwanych obelg.

"Dość tego" zawołałem po kilku minutach. "Dość zanieczyszczania powietrza plugawymi słowami. Chcę się raz na zawsze rozmówić z Janową. Przedewszystkiem proszę oddać książkę".

"Ktoby się tam łakomił na pańskie obdarte książki".

"Wzięła mi Janowa książkę" powtórzyłem z naciskiem. "Póki Janowa kradła moją bieliznę, ubranie, porcelanę, srebro, nie mówiłem nic, tak samo to wam, jak mnie, potrzebne... Ale Janowej nic po książkach, a mnie..." Nie dokończyłem, nie chcąc zdradzać przed nią, jak bardzo mi na moim zbiorze zależało. "Zresztą wszystko jedno, nie dam się dłużej okradać i kwita".

Zaczęła się rzucać po pokoju, jak wyciągnięta z wody ryba na piasku nadbrzeżnym. Wreszcie wybiegła i wróciła po chwili z dwiema okropnymi megerami, które łącznie widywałem u niej w kuchni.

"Słyszaliście!" zawołała, skoro tylko weszły do pokoju. "Co pan Miączynski znowu wymyślił, żeby mię się pozbyć... Powiada, że mu książkę ukradłam".

Zrozumiałem od razu do czego zmierzała, chciała widocznie skonstruować przeciwko mnie proces o oszczerstwo.

"Nie powiedziałem, że Janowa ukradła mi książkę", skłamałem przytomnie a bezczelnie. "Utrzymywałem i utrzymuję, że Janowa ruszała moje książki, a ja sobie tego nie życzę".

Zamruczała coś o konieczności wycierania kurzu.

"Niech Janową o to głowa nie boli... Sam sobie dam radę. Zabraniam dotykania się moich książek raz na zawsze! Zrozumiane! A jeśli Janowa mię nie posłucha, to jej ręce

zgniją i będzie z temi kikutami żebrać pod kościołem".

Słowa moje zrobiły na wszystkich trzech babach pewne wrażenie. Nie zadowolilem się jednak tą rozmową. Jeszcze tego samego wieczoru sporządziłem napisy grożące najśrodszemi karami za dotykanie książek, zaopatrzyłem je znakami magicznymi i rozwiesilem na półkach. Czułem jednak, że to wystarczyć nie może. Janowa była niestety kobietą rozsądną, dla wszelkich przesądów miała pogardę osoby praktycznej, realnie oceniającej życie. Jak zaraz zobaczysz, poglądy swoje przypłaciła życiem, ale o tem później... Oczywiście byłem przygotowany i na tę ewentualność, że nie uda mi się jej zastraszyć, postanowiłem jednak czekać, póki nie rozpocznie na nowo kroków zaczepnych.

Nie trwało to długo. W tydzień mniej więcej po naszej pamiętnej rozmowie zauważyłem brak jednego tomu wielkiego Larousse'a z r. 1889. Kradzież wydała mi się idyotyczna. Było niemożliwością, by ktokolwiek kupił od niej jeden tom starej encyklopedji, przypuszczałem nawet, że mi go odda po pewnym czasie, [możesz więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy w kilka dni później ulotnił się bezpowrotnie drugi tom tego samego dzieła. Co u licha! Czy Janowa postanowiła pozwoli skompletować sobie całego Larousse'a? Nie miałem zamiaru czekać na to. W godzinę po skonstatowaniu drugiej kradzieży byłem już u mego brata i opowiedziałem mu wszystko. Jak wiesz, ten nieszczęśliwy mój brat zajmuje się bakterjologią i nigdyby zbyt nie interesował naszą biblioteką. Ale tym razem... Zresztą, co tu długo mówić, nawet ciebie, obcego, obojętnego człowieka poruszyła wiadomość o kradzieży „Flisa”, a Michał jest bądź co bądź Miączynskim. Poraz pierwszy w życiu widziałem go naprawdę wzburzonego. Ale może cię nudzę?"

"Nie, opowiadaj dalej".

"Gdy wróciłem od Michała, przyniosłem sporą paczkę szpilek i flaszkę, zawierającą... Nie, mniejsza z tem co zawierała, dość, że według zapewnień brata, najmniejsze draśnięcie palca szpilką, umoczoną w tym preparacie, doprowadziłoby niechybnie do amputacji ręki. Na półkach moich jest zwykle dość luźno, ale przez ustawienie obok książek, broszur, złożonych zwykle w szufladach, zrobiło się tak ciasno, że niepodobieństwem było



Powiada, że mu książkę ukradłam

wyjęcie jakiegokolwiek tomu inaczej, niż przez podważenie go od strony wewnętrznej, a między kartki, właśnie w to miejsce, na które musiał nacisnąć palec złodzieja, włożyłem... Straszna robota przy kilkunastu tysiącach tomów, i ostrożność, jakiej wymagała! Raz jeden wydało mi się, że się skaleczyłem... Dwie noce później nie spałem. Janowa mnie przez ten czas nie okradła, bo wziąłem urlop z biura i literalnie nie wychodziłem z domu, ale pa-

trzała na mnie drwiąco i przy każdej sposobności podsuwała mi pod nos swoje czerwone łapska, które ani myślały gnąć. Nie umiem ci powiedzieć, ile nienawiści do tej baby zebrało się wówczas w moim sercu. Podeszła mię, zrobiła piekło z mego domu, przyczyniła mi niepowetowane szkody, a w dodatku zmusiła do kłamstwa, do podstępu, do życia, niegodnego człowieka. Nareszcie wszystko było skończone. Teraz ogarnął mię gorącz-

kowy niepokój. Czekałem, drząc, z niecierpliwości, rezultatu moich trudów. Wpatrywałem się w Janową, jak pajak w muchę, codziennie badałem oczyma jej ręce, aż wreszcie... Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, gdy spostrzegłem pewnego wieczoru, że ma obwiązany palec.

„Co się Janowej stało” zapytałem uprzejmie.

„A nic, proszę pana. Musi, skaleczyłam się w palec przy praniu.”

„Aha” pomyślałem. Zwróciłem się do niej z najśłodszym uśmiechem, na jaki mię stać było: „Nie ruszała przecież Janowa moich książek?”

„Znowu pan ze swemi książkami wyjeżdża, nie ruszałam ich i tyle. Co mi po nich.”

„Bardzo dobrze” odpowiedziałem. „W każdym razie niech Janowa pójdzie do lekarza.”

„A mam tam czas po dochtorach łązić” odburknęła ze złością.

W dwa dni później sama mię zaczęła. Ręka jej widocznie spuchła.

„Pan powiedział, że mi ręce zgniją, jeśli będę pańskie książki ruszała.”

„Tak, ale Janowa przecież tego nie robiła.”

„Niech z tego miejsca nie zejść, jeśliś choć spojrzła na nie!... Ja się tylko tak pytam, z ciekawości... Bo jakże zgniją odpadną same, czy jak.”

„Nie, trzebaby je było odjąć.”

„A gdybym odjąć nie dała.”

„W takim razie Janowa prawdopodobnieby umarła.”

Zbladła śmiertelnie ze strachu i wyraziła gotowość pójścia do doktora. Dałem jej list do znajomego lekarza, w którym wskazywałem na konieczność amputacji ręki. Wieczorem Janowa wróciła triumfująca.

„Doktór powiedział, że nie trzeba ręki odejmować, i tak mię uleczy.”

Wiedziałem, że lekarz nie zdaje sobie sprawy z sytuacji i postanowiłem jeszcze raz ją ostrzec.

„Naturalnie, o ile Janowa nie dotykała moich książek...”

„Znowu te książki! Nawet do tych półczy-sków nie doszłam. Skaleczyłam się przy praniu.” Tu dodała kilka niepocholebných epitetów pod adresem ludzi, zostawiających szpilki w bieliznie.

Nazajutrz rano, jeszcze leżałem w łóżku, gdy Janowa zjawiła się u mnie. Musiała bardzo cierpieć w nocy, bo miała twarz zupełnie białą, sine usta i mocno zaczerwienione oczy.

„Ja”, zaczęła po chwili. „Ja ruszałam pańskie książki... Ale jak zbawienia duszy pragnę...”

Nie dałem jej skończyć.

„Niech Janowa nie grzeszy i nie kłamie dłużej, bo to nic nie pomoże.”

„A no więc ukradłam panu tę książkę. Ważna rzecz! Mało to ich pan ma. Wielkie nieszczęście, że jedną albo dwie wzięła.”

„Ma Janowa słuszność, nieszczęście naprawdę niewielkie. Proszę odejść i nie przeszkadzać.” Odróciłem się na drugi bok, udając, że zasypiam.

„Pan śpi, a mię tak ręka boli, że mało nie zdechnę.”

„Ważna rzecz! Mnie to do snu nie przeszkadza.”

„Już się do wszystkiego przyznałam, to mi teraz pan pomóc powinien.”

„Nie” odparłem chłodno.

„Więc co będzie.”

„Pewno Janowa umrze za kilka dni, kiedy sobie ręki odjąć nie dała.”

„Pan tak straszy tylko.”

„Jakem groził, że ręka zgnije, to mi też Janowa wierzyć nie chciała.”

Widocznie ten argument trafił jej do przekonania, bo nagle padła na kolana przed moim łóżkiem i zaczęła błagać mię o zmiłowanie. Ku wielkiemu memu zdziwieniu nie sprawiło mi to żadnej przyjemności, odczułem nawet coś w rodzaju litości nad nią. Trudno, jesteśmy przyzwyczajeni od dzieciństwa do uważania każdego stworzenia, chodzącego na dwóch nogach i mówiącego głosem ludzkim, za swego bliźniego. Postanowiłem jej pomóc. Ręka była bezpowrotnie stracona, ale przez natychmiastową amputację utrzymałoby prawdopodobnie babę przy życiu. Miałem zamiar ponieść koszty operacji i wezwać do niej jednego z najpoważniejszych chirurgów w mieście. Jednocześnie jednak chciałem, korzystając z okazji, wydość od niej swego „Flisa”.

„Dobrze!” powiedziałem wreszcie. „Zrobię wszystko, by Janową uratować, ale pod jednym warunkiem: proszę mi oddać pierwszą książkę, którą mi Janowa ukradła.”

„Kiej jej nie mam.”

„To się wie... Niech Janowa tylko powie komu ją sprzedała, to już ja sobie dam radę...”

„Bo widzi pan, ja mam znajomego introligatora. Kupuje okładki. Nawet prosił, żeby więcej przynieść, bo dobre.”

„A co się z książkami stało?”

„Ktoby tam dbał o taką starzyznę, ifwy-szarpane i podklejone. Wiele to warte... A zresztą, niech broń Boże rewizja!.. W piec cisnęłam i tyle.”

Rozumiesz, zniszczyła rzecz, mającą dla mnie i nie tylko dla mnie, nieocenioną wartość, dla kilku groszy, które dostała za okładkę. I żeby choć nędzą pchnęła ją do tej zbrodni, albo jakaś przemożna namiętność do pieniędzy, do alkoholu, do czegośkolwiek bądź na świecie, tobym mógł zrozumieć i przebaczyć. Ale nie, Janowej nie mogło zależeć na tej drobnej sumce, którą płacił jej introligator za okładki, kradła z długoletniego przyzwyczajenia, z potrzeby wewnętrznej, oto kradła poprostu, bo zdawało jej się, że może ukraść bezkarnie. I ja, sentymentalny głupiec, litowałem się nad nią, chciałem nawet uchronić od zasłużonej kary. Na szczęście opamiętałem się w porę. Wzruszyłem ramionami i oświadczyłem, że na pomoc moją liczyć nie może. Przez pół godziny naprzemian błagała mnie o ratunek i przeklinała, ale jęki rannego śmiertelnie krokodyla, o ile krokodyle wogóle głos wydają, większeby na mnie zrobiły wrażenie niż jej płacz i obelgi. Wyszła wreszcie, zatraskując drzwi i wrzeszcząc, że sobie da radę beze mnie. Co do tego, myliła się. W cztery dni później operowano ją w szpitalu, a po tygodniu pochowano. Zapłaciłem za pogrzeb. Ostatecznie nie miałem prawa narażać na koszty Jana, który jest człowiekiem przywoitym i nic mi złego nie zrobił.”

Miączyński skończył i, wpatrując się we mnie swymi rybiemi oczyma, zdawał się czekać odpowiedzi.

W pierwszej chwili nie byłem w stanie słowa przemówić. To otwarte cyniczne przyznanie się do zbrodni zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Od dwudziestu lat przeszło znam Miączyńskiego i nigdy podobnych możliwości w nim nie podejrzewałem. A prztem zanosilo się na diabło nieprzyjemną sprawę. Nie prosiłem go o zwierzenia, ostrzegłem go nawet, nie mógł więc mieć pretensji, jeśli teraz zrobię właściwy użytek z jego spowiedzi, ale jednak...



Janowa prawdopodobnieby umarła

„Słuchaj, Miączyński! Czegoś mi to u licha opowiedział! Mnie, prawnikowi, w dodatku. Czy nie rozumiesz...”

„Że będziesz musiał zawiadomić o wszystkim prokuratora.” Przerwał, uśmiechając się ironicznie. „Proszę bardzo. Upprzedzam cię jednak, że zblamujesz się nieśmiertelnie. Gdzie dowody? Postawię dwudziestu świadków, którym Janowa przed śmiercią mówiła, że skaleczyła się, piorąc bieliznę. Nawet lekarze nic innego nie będą mogli zeznać.”

„Twoje własne słowa...”

„A ba! Niewolno mi może zażartować z przyjaciela, opowiedzieć mu efektowną bajeczkę, „pociągnąć go za nogę”, jak mówią Anglicy...”

„Opowiadałeś z takimi szczegółami...”

„Które wszystkie mogą być zmyśnione. Co na przykład w moim opowiadaniu ukradła mi Janowa? Pierwsze wydanie „Flisa” Kłownowicza i 2 tomy wielkiego Larousse’a. Dojdź do półek, mój drogi. Książki te stoją najspokojniej w świecie na swoich miejscach, a nie przypuszczasz chyba, że miałem je w dwóch egzemplarzach.”

Szlifierstwo czeskie

Drogie kamienie, lśniące za szybami wystaw jubilerskich, szlifowane są w jednym z miast, zatrudniających w tym przemyśle tysiące wykwalifikowanych robotników, a mających prądkawne tradycje. Jest zaledwie parę takich miast na świecie. Djamenty szlifują prawie wyłącznie w Amsterdamie, Antwerpii, Londynie i New Yorku; inne kamienie w Nadrenji, we Franckiej Jurze i w Twinowie.

Twinów leży w północnych Czechach, w romantycznym kraju, zwanym „Czeskim Rajem”. W pobliżu miasta wznosi się grzbiet góry Kozaków, gdzie znajdowano *agaty*, *ametysty* i piękne okazy *jaspisów*. W potokach, stąd wychodzących, znajdują się ziarenka krwawo-czerwonego *granatu czeskiego*, czyli *piropu*. To właśnie bogactwo kamieni dało podniecie do stworzenia artystycznego przemysłu szlifierskiego.



Srebrne klejnoty z chalcedonami i jaspisami



Złote klejnoty z chalcedonami i jaspisami

Zamiłowanie w szlifowanych kamieniach rozpowszechniło się w Indiach temi samymi drogami, co cywilizacja. W Europie spotykamy się z tem przedewszystkiem w Grecji i Rzymie, następnie zaś w bogatej i rozmiłowanej w sztuce, północnej części Włoch, zwłaszcza we Florencji i w Wenecji. Stąd król Karol IV powołał specjalistów do Czech. O początkach rozwoju tej sztuki w Czechach niewiele mamy wiadomości, o wysokim jej poziomie świadczą jednak wymownie tysiące kamieni w ścianach kaplicy św. Wacława na Hradczanach w Pradze; w kaplicach zamku Karlsztejn. W tym też okresie wszystkie niemal większe kamienie zostały zużytkowane. Szlifierstwo musiało się zadowolić kamieniami mniejszemi, głównie jaspisami, na które był popyt we Włoszech, na t. zw. „mozajkę florentyńską”. Wkrótce zwrócono uwagę i na czeski granat. Technika szlifowania była bardzo prymitywna. Szlifowano tylko jedną, zewnętrzną powierzchnię kamienia.

Większą ilość szlifowanych powierzchni spotykamy dopiero koło r. 1600. Szlifierze tureccy wkrótce tę sztukę przejęli. Kiedy jeszcze nauczyli się imitować drogie kamienie

i w sztuce tej prześcignęli swoich włoskich mistrzów, pozyskali sobie sławę światową. Surowca mieli w okolicy poddostatkiem. Zbyt tych imitacji był łatwy, dobrobyt okolicy wzrastał, za czasów Marji Teresy jednak wielkie podatki zubożyły ludność. Kupcy zaczęli się znów zwracać do Wenecji, a po wojnach napoleońskich naczelne miejsce w tym handlu zajął pobliski *Jablonec*, który w ciągu lat kilkudziesięciu opanował rynek wszechświatowy i zalał go t. zw. „Gablonzwahr“.

Nowy zwrot nastał, kiedy w 80-ych latach ubiegłego stulecia weszły w modę czeskie granaty. Ożyły dawne tradycje turnowskie, Turnow stał się bezkonkurencyjnym dostawcą granatów i stanowisko to utrzymał do dziś dnia.

Obecnie w Turnowie szlifują kamienie wszelkiego rodzaju, nie wyłączając djamentów. Surowce są pochodzenia obcego. Są to przeważnie: czerwony rubin, niebieski szafir i szafir biały. Ze sztucznych kamieni wyrabiają tu sztuczne aleksandryty, hiacynty, kuwzyty i różowe beryle. Prawdziwe kamienie przypominają one tylko kolorem i zadawałają dążenie do posiadania tanich, a ładnych klejnotów, brak im jednak podstawowej cechy kamienia, to jest naturalnego pochodzenia, to też znawcy domagają się kamieni prawdzi-



Kryształowa waza sylexowa, pieczętka i naszyjnik z czarnym onyxem



Szkló rznęte z motywami figuralnymi

wych. Są to często t. zw. kamienie narodowe. W Republice Czechosłowackiej są to: *czeski granat, słowacki opal, kozakowski oliwin, ve-tavin* i wielobarwne agaty i jaspisy. Tak samo, jak w innych dziedzinach, panuje tu wszechwładnie moda. Obecnie za najcenniejsze uważane są: djament, szmaragd i perła. Czasami i bardziej pospolity członek wielkiej rodziny kamieni wywalczy sobie miejsce honorowe. Tak było przed trzema laty z czarnym *onyxem*. Stale jest popyt na t. zw. kamienie miesięczne. Jest ich 12, każdy panuje niepodzielnie w jednym miesiącu, a ludzie za-bobonni kupują je według tego, w jakim miesiącu się urodzili.

Podstawą przemysłu turnowskiego było zawsze i jest szlifierstwo kamieni i ich imitacji. Proces szlifowania jest bardzo skomplikowany i różnorodny. Używa się do tego precyzyjnych instrumentów. Zadanie szlifierza jest o tyle trudne, że musi on oszczędzać drogiego materiału, wybrać najodpowiedniejszą „ormę, wyszlifować najodpowiedniejsze powierzchnie, nadać im odpowiednie nachylenie, zależne od tego, jak w danym kamieniu załamuje się światło. Po oszlifowaniu za pomocą ostrych instru-



Kryształy wyrobu szkoły państwowej w Turnowie

mentów kamień jest podrapany. Należy go więc wygładzić. Dzieje się to na cynowych kołach przy zastosowaniu kwasu siarczanego. Dobrze oszlifowany i wygładzony kamień odbija od dolnych żeber światło, jak lustro. Te

dolne odbłyски podkreślają barwę kamienia i najbardziej zwracają na siebie uwagę.

W turnowskim szlifuje się przeważnie po domach, są jednak i fabryki z popędem elektrycznym. Opracowuje się kamienie naturalne

i imitacje. Silnie załamujące szkło imituje brylanty, które na dole są często zaopatrzone w lusterko. Gotowy towar pod nazwą *gar masinki, simili, chaton* wędruje do Ameryki.

Państwowa szkoła szlifierska w Turnowie dba o utrzymanie charakterystycznego przemysłu krajowego na wysokim poziomie. Poza szlifowaniem kamieni uczą na niej szlifowania brylantów, przedmiotów artystycznych, złotnictwa wraz z ozdobnictwem, jak cyzelowanie i emalowanie.

Djament, jako materiał najtwardszy, szlifuje się swym własnym proszkiem. Dlatego cały proces jest tu odmienny.

Do szlifowania przedmiotów artystycznych, jak pieczętki, przyciski, miseczki, zegary i t. d. używa się materiału bardziej pospolitego, t. j. agatu, jaspisu, słowackiego półopalu, kryształu, nypytu, jadeitu, aragonitu i t. d. Artystycz-

ne opracowanie nadaje tym przedmiotom nie raz bardzo wysoką wartość. Na naczyniach kryształowych rzeźbi się obrazki.

Rycie kamieni jest w zasadzie drobnym rzeźbiarstwem (gemmogliptyka), a wykonywa

się za pomocą szybko toczącego się kółeczka. Praca bywa wklęsła (intaglije), lub wypukła (kamee). W nowszych czasach ryciny spotykamy najczęściej w kryształach, szklanych opalach, onyxach z jedną warstwą białą, drugą czarną lub czerwoną i t. d. W kameach

przeważają głowy, piersia, podobizny i t. d. Wspaniałe ryciny prof. Drahoňowskiego z Pragi bywają często przedmiotem darów dyplomatycznych. Są, oczywiście, bardzo drogie.

Złotnictwo państwowej szkoły w Turnowie poszukuje nowych dróg i osiągnęło już na międzynarodowych wystawach szereg sukcesów. Ten rodzaj pracy nie jest jednak ograniczony do pewnej okolicy. To też złotnicy są wszędzie, gdy szlifierze są skoncentrowani dookoła Turnowa. Na turnowskiej wystawie roku 1925 atrakcją były wielkie beryl: zielony

o rozmiarach 37×25 mm. w cenie przeszło 10.000 złotych i różowy, mniejszy, ale wyższy w tej samej cenie. Największy granat czeski z ostatnich lat mierzył 6×7 mm. i kosztował przeszło 500 złotych.



Intaglije kryształowe



W kraju białych nocy

(szkic z podróży do Laponji)

Napisała

Janina Szaferowa

Są chwile, których nic w pamięci zatrzeć nie zdoła, wrażenia, które, raz przeżyte, wracają do nas z nieprzepartą siłą. Do takich zaliczyć muszę niedawny pobyt na północnych krańcach Europy, a szczególnie dni, spędzone w odległej Laponji. Gdy zamknę oczy i wywołuję w pamięci widziane obrazy, stają przede mną świeże i żywe. Widzę wyraźnie wielkie obszary, pokryte kopulastymi, szeroko rozsiadłymi górami, a między nimi mokradła, torfy, bagna, niezliczone jeziora i stawki; krajobraz tak młody, że zdaje się, iż dopiero wczoraj stopniała tu dyhuwalna czapa lodu i zostawiła po sobie wygładzone wzgórza, lustra wód jeziornych, roztopy i kałuże. Odsłonięta ziemia lśni się w promieniach nieschodzącego w lecie z horyzontu słońca, ocieka mokremi kropkami rosy, uśmiecha się ku niebu błękitem niezliczonych wód i jaskrawi tkaniną roślinności. Po falistym terenie przeciąga jakiś smutek, a kraj cały wieje przeraźliwą pustką. Nie widać nigdzie miasta, wsi, ani nawet drobnej ludzkiej osady.

Taką zachowała się w pamięci mojej Laponja.

Historja tego kraju jest bardzo prosta. Ogromne lodowce, które w czasie dyhuwium zajmowały znaczną część północnej półkuli i wielkimi językami wkraczały w środek kontynentów, tu przyszły pierwsze i zachowały się najdłużej. Nawet nie dotarło tu prawdopodobnie ciepłe tchnienie południa, które parę razy zmuszało lód do cofania się do północnego ośrodka, przegradzając epoki lodowe okresami o dużo cieplejszym od naszego klimacie. To też obliczyć niepodobna, ile tysięcy lat była Laponja jedną białą pustynią, bez śladu życia. A tak stosunkowo niedawno wyłaniać się zaczęła zimna i rozmiękła ziemia z pod ustępującego lodu, że potężny czynnik rzeźbiący, zwany erozją, będący splotem działania wichru, wilgotności, zmian ciepłoty i biegu wód, tu nie miał wprost czasu przyłożyć swej ręki twórczej. Nie widać ostrych, obnażonych wiatrem skał, głębokich parowów rzecznych, fantastycznych iglic i ko-

minów, tego charakterystycznego krajobrazu, który utkwł w pamięci każdemu, kto raz chociażby widział dolinę Ojcowską lub Tatr. Góry płaskie, o ściętych wierzchołkach, łagodnych stokach i szerokich dolinach, wielkie płaty torfowisk, gdzie składane są resztki ciał roślinnych, liczne jeziora lodowcowe i płatające się bez wyraźnego kierunku rzeki, — wszystko to składa się na krajobraz zgoła od naszego inny i tak bardzo charakterystyczny.

Niegościnną to i dziś jeszcze ziemia. Surowy powiew północy, szarzysta zimowego dnia bez słońca i zimna gleba, pod którą

terenu, aż wreszcie przechodzą w przyziemne, zwarte zarośla, wierzchem równo ucięte, jak nasze parkowe, strzyżone szpalery.

Dwie brzozy nadają charakter lapońskiemu krajobrazowi. Jedna — to do kilku metrów wyrastające drzewko, czy krzew, bardzo zmienne pod względem kształtu, formy deltoidalnych liści i barwy kory, która, dołem szaro-srebrzysta, w górnych częściach przybiera czasem aż wiśniowe barwy. Jest to pokrewna naszej białej brzozie mieszkanka zimnych okolic, *Betula tortuosa*, po polsku brzoza północną zwana. Druga — to brzoza karłowata (*Betula na-*



Letni namiot lapoński

w głębokości 2 m. znajduje się niestopiona jeszcze od czasu dyluwium skorupa lodu, utrudniają tu byt roślinności. Chłoszczące zimą i latem wiatry walczą z lasem i w nieznacznej wysokości 200 m. ponad powierzchnią miejscowych jezior obnażają już kopuły gór, a w dolinach łamią i kaleczą drzewa, nadając im formy starczo i chorowicie powykrzywiane. Trudno tu już nawet mówić o lesie, a tę przedziwną w swych formach brzozę północną, która tu wyłącznie rośnie, niby przednia straż lasów w walce z surowym klimatem, nazywać drzewem. Są to raczej krzewy o mocno powyginanych konarach, często aż pokładające się na ziemi, coraz niższe, wmiarę podnoszenia się

na), mała krzewinka o ciemnej korze i drobnych, okrągławych, skórzastych liściach, prawdziwe cacko, o subtelnych kształcie, która jednak nie tylko zwycięsko wychodzi w walce ze srogością klimatu, ale uragać mu się zdaje swymi drobnymi gałązkami, pełnymi kiści dojrzałych nasion. Panoszy się na stokach gór, wyrasta z pod każdego kamienia, wpełza w każdą szczelinę skalną i rozszerza swe panowanie tak daleko na północ, jak daleko sięga życie roślinności. Jest to obok wierzb karłowatych jedna z najbardziej charakterystycznych roślin dla tundry północnej.

Na bezdrzewnych wierzchołkach i stokach gór znajduje już przytułek inna roślinność,



Widok na t. zw. Bramę Lapońską



Letnia ośca lapońska

przypominająca pokrojem i składem florystycznym roślinność tatrzańskich hal i turni. Czas wegetacji jest tu bardzo krótki, z miejsc tych bowiem najpóźniej latem schodzi śnieg, a wczesną jesienią znów je przysypuje do zimowego spoczynku. Szybko więc budzić się muszą ukryte pod śniegiem pączki, rozwijać zielone listeczki i czerpać dnem i nocą energię słonecznego światła, aby nagromadzić przed zimą zapas pożywienia, potrzebny na okres długiego spoczynku i na prędkie wzrost wiosną. Nie zawsze uda się też zakwitnąć i wydać nasiona, to też życie trwa głównie dzięki zdolności wegetatywnego rozrostu. Te zielone stoki położonych gór stanowią t. zw. feldy, to jest wielkie pastwiska reniferów, których liczne stada hodojuje tu i wypasa związany z nimi najcisłej interesem życiowym Lapończyk.

Lapończyk? A więc w tej pustej krainie mieszkają ludzie? Co prawda jest ich bardzo niewiele i trudno powiedzieć, aby mieszkali. Są dziś tu, jutro tam, dokąd zawłoką ich za sobą szukające pożywienia stada.

W całej Szwecji jest dziś około 7000 przedstawicieli tej ginącej rasy, a w sąsiedniej Norwegii jeszcze mniej. Dlaczego giną, trudno powiedzieć; być może stanowią jedno z tych plemion, które nie mogą strawić, ani dostosować się do idącej z centrum Europy kultury. Żyją w swym kraju, rządząc się swobodnie starymi prawami, a jednak liczba ich stale się zmniejsza.

Stosunkowo niedawno została Laponja „odkryta” przez szwedzki ruch turystyczny. Datuje się to od r. 1903, to jest od czasu budowy linii kolejowej, która, przebiegając z centrum Szwecji przez całą Laponję, dociera do wybrzeży Norwegii. Ruch ten stale wzrastał i dziś stała się Laponja tem dla Szwedów, czem dla nas np. Tatry: ulubionym miejscem wycieczek, gdzie każdy rodowity Skandynawczyk przynajmniej raz być pragnie. Wyrazem tego jest powstanie wielkiej stacji turystycznej w sercu Laponji, w miejscowości Abisko nad długim jeziorem Torne. Dom ten stoi wśród zupełnej pustki. Monotonję krajobrazu przerywa tyl-

ko czarny wąż szyn kolejowych i stojące przy nim gdzieś niegdzie czerwone budki dróżników, zresztą, jak okiem sięgnąć, tylko wzgórza i góry, przeglądające się w przeźnawie jasnej fali wielkiego jeziora i otaczające je zwartym łańcuchem. W jednym tylko miejscu łańcuch gór się przerywa, tworząc ogromną dolinę lodowcową, półokrągłą, w kształcie litery „U”. Jest to tak zwana „brama lapońska”. Była to ongiś droga wypadu lodowca, a dziś stanowi bramę komunikacyjną Laponii z resztą świata, której rokrocznie ciągną plemiona koczownicze ze stadami na południe. Jest ona tak charakterystyczna w swoim ogromie i tak swoiście piękna i mówiąca o historii kraju, że nic dziwnego, iż ku niej skierowały się okna samotnego domu turystycznego i że szukającemu w myśli lapońskich wspomnień obraz jej wysuwa się na plan pierwszy.

Aby obraz Laponii stał się pełnym, trzeba, poza przyrodą żywą i martwą, zetknąć się w niej z człowiekiem tubylczym, który na jej tle wyrósł i jest z nią najściślej i nierozzerwalnie związany. Wycieczka do osady lapońskiej była więc w naszym programie punktem ważnym i ciekawym.

Dzień był pogodny i jasny, gdy płynęliśmy przez wyjątkowo ciche jezioro Torne (po lapońsku Torneträsk) do osady lapońskiej Palnoviken, leżącej na północnym jego krańcu, gdzie jedno z plemion spędza corocznie letnie miesiące. Ciekawość nasza była mocno podniecona. Mieliśmy nareszcie ujrzeć Lapończyków na tle ich rodzimego życia, nie włóczące się, wystrojone figurki na pokaz, jakich pełno jest latem koło małych dworców kolejowych i stacji turystycznej w Abisko, ale prawdziwych ludzi na tle ich własnego środowiska.

Wokoło nas roztaczał się krajobraz naprawdę lapoński. Długie a wąskie stosunkowo jezioro gubiło się w oddali licznymi zakrętami między spiętrzone nad brzegami wzgórza, zielone ich stoki przeglądały się w przeczystej toni, tu i owdzie połyskując siwizną nietopniejącego latem śniegu i otaczając cały horyzont, zbiegały się ku bramie lapońskiej. Powietrze było tak czyste, że dalekie nawet przedmioty zdawały się bliskie, blade niebo i blade słońce srebrzyło cichą wodę perłowymi blaskami. Odległe góry odcinały się, nie siną, jak u nas, ale



Laponka z dzieckiem w kotysce

zupełnie niebieską barwą, jaką widuje się tylko na północy. Płynęliśmy godzinę jedną i drugą... i wreszcie za małą wysepką jezioro skończyło się zatoką, nad nią widniał wysoki brzeg, porośnięty zrzadka brzoza, kilka jakby kopczyków z ziemi i zresztą pustka zupełna! Gdzie ludzie? gdzie wioska? gdzie osada?!...

Nagle zaroilo się wybrzeże od czarnowłosych, smagłych postaci. Spostrzeżono nas i byliśmy oczekiwani. Skok na brzeg, kilkadziesiąt kroków w górę i już jesteśmy w centrum osady! Gościnna Laponka otwiera drzwi swego „domu” i uprzejmie zaprasza do środka.

Dom lapoński, to niewielki, stożkowaty kopiec, z pni brzozowych złożony, pokryty grubo korą i darnią, a dołem obłożony kamieniami. Prowadzą do niego surowo ociosane drzwi. Wewnątrz zupełnie prawie ciemno, odorza dym, zapach potu i skór. Przez nieduży otwór w szczycie wpada nieco światła na wielki kamień, leżący w pośrodku, palące się na nim ognisko i wiszący na łańcuchu kociołek. Po chwili, oswojeni

z ciemnością, oglądamy się ciekawie dokoła. Urządzenie niebogate: pod ścianami pęki skór reniferów, służących za pościel, kilka skrzynek drewnianych, ładnie zdobionych metalem, paczka z fajansowymi filiżankami, parę starych gazet szwedzkich i... ręczna maszyna Singera. Mieszanina najsłabszej prymitywności z wytworami kultury. Tylko z lewej strony drzwi, wisi na długich sznurach coś bardzo osobliwego. Cienutki pisk zdradza jego zawartość. W maleńkiej, z pnia brzoźowego wyciętej kolebce wykrzywia spłakaną buzię lapońskie dzieciątko, zapowite tak szczelnie w przybite

rozwijała zupełnie. Szczupła jego buzia, ziemista cera i wiecznie ciekący nosk świadczą, że różne europejskie higieniczne wymysły uważane są tu stanowczo za przesadę.

Lapończycy ubierają się ładnie i efektownie. Szczególnie tam, gdzie służą niejako za atrakcję dla turystów i niemało z nich pewno mają dochodu, dbają bardzo o swój wygląd i przybierają teatralne pozy, z widoczną przyjemnością pozwalając się oglądać. Mężczyźni noszą latem rodzaj sukman z granatowego sukna, z przodu krótszych, z tyłu dłuższych, zaokrąglonych dołem i mocno fałdzystych, obszytych czerwoną lamówką.



Letnia noc nad jeziorem Torne

do drzewa skóry, że nie tylko wypaść, ale ruszyć się nie może. Nad główką skórzaną budka z kolorową firanką. Nie jest to ani łóżeczko, ani kolebka w naszym słowa znaczeniu. Jest to coś, jakby ściśle z małym dzieckiem zrośnięte i stanowiące z niemierozdzielalną całość tak długo, dopóki się ono o własnych siłach nie podniesie i aż wykształcony kręgosłup bez pomocy drewnianej podpory utrzymać będzie mógł małe ciało. Gdy zbieraliśmy się do powrotu, lapońska nasza gospodyni bez ceremonii zdjęła ze sznura wrzeszczący pakunek, wsadziła pod pachę i wraz z nim przysiadła się do naszej łodzi, aby z drugiej strony jeziora pozbyć się prawdopodobnie zarobionego od nas grosza. Zapowitego maleństwa nie

Do tego bardzo szeroki pas, nabijany gwóźdźkami. Główny efekt stanowią czerwone i żółte wypustki w szwach kabata i ogromny, czerwony pompon na szczycie wysokiej czapki. Kobiety ubierają się podobnie, ale kabaty mają dłuższe a na głowach małe czapeczki sukienne. Na nogach buty z reniferowej skóry, ze szwem na wierzchu, i z nosami zagiętymi w górę, jak płozy sań. U boku noże w pięknie nieraz rzeźbionych oprawach. Za to są Lapończycy brzydecy wprost potwornie niscy, z wystającymi policzkami, małymi, skośnymi oczkami, mocno wydatnym, zadartym nosem i ciemnymi, twardymi włosami.

Świeża krew szwedzka zasila jednak widocznie tę ginącą rasę mongolską, gdyż wi-

dzieliśmy między nimi dzieci jasne, niebieskookie, o kręconych, miękkich kędziarach.

Lapończycy pędzą życie dość próżniacze. Szczególnie mężczyźni, latem, gdy renifery pasą się same na fieldach, rybne jezioro daje poddostatkiem pokarmu, a hodowane przy domu kozy mleko, mogą się w całej pełni oddawać lenistwu. Zabawiają się wycinaniem z rogów reniferów bardzo pięknych nierzaz i bogato rzeźbionych opraw do noży, które znajdują chętnych nabywców między odwiedzającymi ich turystami. Handlują również skórami i mięsem reniferów oraz

Lapończyk jest w zasadzie samowładnym panem swojego kraju. Nie obowiązują go ani ogólne szwedzkie prawa, ani dzisiejsze granice polityczne. Koczując, w drodze ze swojemi stadami rozbija namioty raz w Szwecji, raz w Norwegji i rządzi się podług swojej woli. Zwierzchnicy kraju nie mogą, czy nie chcą mu nic narzucić ani rozkazywać, nie mają też Lapończycy obowiązku służenia w wojsku, ani płacenia podatków. W ostatnich czasach utworzono w Abisko z inicjatywy szwedzkich kół naukowych dość duży rezerwat przyrodniczy, teren, który ma być przez człowieka niety-



Jezioro Torne z charakterystycznymi kopulastymi górami Laponji

różnemi drobiazgami swego wyrobu. W jesieni dopiero, gdy śnieg przysypuje fieldy, zaczyna się łapanie renów na lassa, liczenie i znaczenie nowego przybytku, a potem wędrówka ze stadami w doliny i na południe, tem dalej, im zima sroższa a gruby kozuch śniegu nie pozwala zwierzętom na wygrzebywanie z pod niego pożywienia. Były lata tak srogich zim, że koczujący Lapończycy zapuszczali się ze stadami za pożywieniem aż pod mury Stockholmu.

Osada lapońska stanowi jakby jedną gminę, do której należy stado reniferów i pewne ściśle odgraniczone strefy pastwisk. Obszary te oddzielone są od siebie wysokimi, prymitywnymi płotami z gałęzi i chrustu, uniemożliwiającymi reniferom przecho-
dzenie z jednego terenu na drugi.

kany i zachować w sobie całą pierwotność lapońskiej przyrody. De facto jest jednak ten rezerwat tylko teorią. Lapończyk ma bowiem prawo wycinać w swoim kraju las, gdzie chce i jeśli tego w tem akurat miejscu nie czyni, to dlatego, że go tam dotychczas nie prowadził interes, ani potrzeba.

W stosunku Szwedów i Norwęgów do mieszkańców Laponji jest jednak nie tyle tolerancja, co pewnego rodzaju lekceważenie. Człowiek, zamieszkujący ich kraj, na którym nie ciąży żadne obowiązki obywatela, to jakby jakieś pół-zwierzę, które się znosi, bo nie jest ani specjalnie złe, ani szkodliwe. Wprawdzie w kilku miejscach w Laponji są zimowe osady, gdzie zatrzymuje się przez parę miesięcy część ludności koczowniczej i gdzie dzieci chodzą do szwedzkiej



Zimowy tabor Lapończyków

szkoły, niemniej jednak w Stockholmie, w parku ludowym Skansenie, między innymi osobliwościami szwedzkiej przyrody i architektury, znajduje się chatka lapońska, darnią kryty kopczyk brzoźowy, gdzie „hoduje się” parę autentycznych Lapończyków przy otwartych drzwiach i każdy z przechodzących ma prawo wejść tam i przyglądać się ich życiu. Jest w stosunku Szwedów do Lapończyków coś podobnego, co w stosunku Amerykanów do czerwonoskórych lub białych do murzynów w Afryce.

Nie można jednak powiedzieć, aby Lapończycy byli sympatyczni. Już sama powierzchowność ich jest wprost odrażająca, a z tych, którzy, będąc bliżej środowisk białych, otarli się nieco o kulturę i w bluszczących świeżością, pretensjonalnych strojach wyczekują na dworcach kolejowych, z tych nie wyjdzie już materiał pożyteczny ani dla ich współbraci, ani dla Szwecji.

Przemieła za to są towarzysze ich, renifery. Spotkać je można wszędzie, gdy zjeżdżie

się w mniej dostępne miejsca w góry. Wprawdzie żyją one tam półdziko i stronią od człowieka, ale wrodzona ciekawość każe im podglądać idących turystów. Ogromne stada, niezmiernie chyże i ruchliwe, ukazują się to z boku, to z tyłu, to z góry, giną i pojawiają się co chwila na innym miejscu. Czasem dadzą się podejść tak blisko, że bez trudu można je sfotografować. Zdarzyło się nam raz, że od przebiegającego stada odłączyło się młode cięle i, załosnie becząc, przywoływało matki. Ta stanęła strwożona i niepewna, między nią bowiem, a dzieckiem było całe nasze liczne towarzystwo. Wreszcie niepokój przemógł, zebrała się na odwagę i pędem przebiegła między nami do swego malca.

Renifery są to zwierzęta niezbyt rosłe, rzadko dorastające do wielkości naszej krowy. Kryje je niedługie, bardzo gęste futro barwy brunatnej, szarej, czasem zupełnie białe, lub łacie i nakrapiane. Na rozłożystych rogach znajduje się z prawej stro-

ny tuż nad czołem rozgałęzienie, t. zw. wyrostek oczny, który służy zwierzętom do rozgarniania śniegu w poszukiwaniu pożywienia. W pokarmach niewybredne, łatwiej raczą się soczystymi ziołami, w zimie jednak potrafią się wyżywić porostami, głównie t. zw. chrobotkiem reniferowym (*Cladonia rangiferina*), obficie porastającym tundrę. Dzięki tym skromnym wymaganiom życiowym mogą renifery przebywać w krajach tak niegościnnych dla życia i umożliwiają tam byt człowiekowi. Jest to w rodzinie jeleni zwierzę stanowczo dla ludzi najpożyteczniejsze.

mi", skórami, rogami i t. p. przedmiotami handlu, zachęcające swój towar i podając ceny zupełnie... zakopiańskie. Trudno! Trzeba się zrewanżować za gościnę! To też, gdy obdarci z gotówki powracaliśmy do Abisko, towarzyszyło nam przynajmniej pół plemienia w odświętnych strojach i z minami tak zadowolonymi, iż czuć było, że wizyta nasza pozostawiła po sobie najmielsze wspomnienie!

Ruch turystyczny w Laponii wzrasta się coraz bardziej. To też rozszerzająca się wciąż stacja turystyczna w Abisko nie może wprost nastarczyć miejsc zgłaszającym



Dom lapoński w Palnöviken

Mięso reniferów, podobno bardzo smaczne, znajduje się na wszystkich rynkach w Skandynawii. W lecie podają je wszędzie na przekąskę w formie surowych wędzonych płatków, przypominających nieco w smaku nasze litewskie wędliny.

Do nieuchronnych ceremonij w gościnie lapońskiej należy wypicie tradycyjnej „kawy”, sporządzonej w wiszącym, miedzianym kociołku. Stary to zdaje się zwyczaj i bardzo rozpowszechniony. We wszystkich opisie chaty lapońskiej spotyka się tę kawę jako obraz lapońskiej gościnności. Nie jest to jednak bezinteresowne. Ugoszczonych bowiem obskakuje zwykle całe plemię, od dzieci do starców, obwieszane „pamiątka-

się i nieraz już w zimie zamawiać sobie trzeba na lato pokoje. Nie szuka tu jednak Szwed dancingu, ani kawiarni, jedyna rzecz, której pragnie, to — włóczęga po pustej, niezamieszkannej ziemi i szukanie wrażeń na tle przyrody, tak bardzo pierwotnej. Wieczory gromadzą turystów w wielkich, szwedzkiemi tkaninami wystłanych salach, i tam przy tlejącem na kominkach ognisku gwarzą i wspominają przeżyte chwile.

Jest jednak w tym pięknym kraju i odwrotna strona obrazu. Są to niezliczone roje komarów i kłujących muszek, które stanowią prawdziwą plagę dla mieszkańców i turysty. Nie pomogą siatki w oknach, nie pomagają różne mocno niewonne smarowi-

dła, przy pomocy których stara się człowiek być komarom jaknajmniej miłym. Złośliwe te istoty wciskają się wszędzie, kłują przez pończochy i ubranie i tak potrafią dokuczyć, że pamięć o nich długo nie ginie! Nieraz w nocy, gdy sen nas zmorzył, zmęczonych ciągłym ruchem i włóczęgą, armaty byłyby może nie zbudziły, ale budził natychmiast cienki głosik, brzęczący gdzieś nad uchem.

Klimat Laponji i latem jest dość surowy. Bezustanne wiatry, wiejące od brzegów Norwegji, choć wyładują już na nadbrzeżnych górach nadmiar niesionej wilgoci, przecie i tu nieraz zasnują cały krajobraz gę-

latem, dzień i noc czerpią z ziemi i wywożą stamtąd na cały świat cenną skalę. Ruda ta znajduje się wprost na powierzchni, to też kopanie jej ogranicza się tylko do zdejmowania z góry tarasami, minerału, warstwa po warstwie. Większość pokładów wynosi tu 20 — 400 m. grubości, a zalegają one znaczne obszary. Ma więc Szwecja zabezpieczone źródło dochodu na wiele lat. Eksploatacja jest stosunkowo tania, ogromny bowiem wodospad Porjus, który tworzy rzeka Lule na granicy Laponji, daje siłę wodną, zaopatrującą w prąd elektryczny cały północny kraniec Szwecji. Nawet koleje na



Lapończycy na burzliwym jeziorze Stora Lule

stą mgłą i z szumem tańczą po falach wód. Zimą zaś długotrwały zmrok, śnieg i mróz czynią tam życie człowieka bardzo smutnem. Dom turystyczny w Abisko pustoszeje wówczas i jedynym śladem kulturalnego życia jest na bezkresnych przestrzeniach mały domek stacji meteorologicznej, stojący na niewielkiem wzgórzu nad jeziorem Torne. Trudno sobie wyobrazić życie bardziej samotne, jak zamkniętej tam przez długie, zimowe miesiące rodziny szwedzkiej.

W pustej Laponji jest jednak miejsce, które tętni życiem. To odległa od Abisko o godzinę drogi kolejną Kiruna. Przed kilkudziesięciu laty odkryto tam ogromne złoża rudy żelaznej (magnetytu) i do dziś rozbudowały się wielkie kopalnie, które zimą i

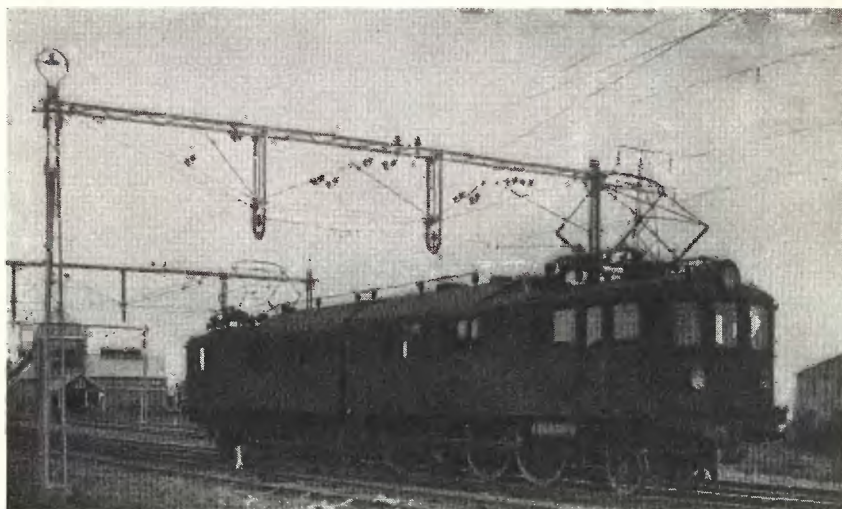
przestrzeni 400 km. od Boden do Narwiku są poruszane wyłącznie elektrycznością. W kopalniach w Kirunie praca ludzka ograniczona jest do minimum. Pracę od wysadzenia skały do naładowania pociągu spełnia 3 ludzi. Widzieliśmy, jak po wybuchu dynamitu jeden robotnik, wszedłszy na zbocze, spychał ogromnym drągiem leżące tam odłamy rudy, drugi kierował maszyną, ładującą węgiel na wagony, a trzeci prowadził pociąg i dbał tylko o to, aby w porę postawić wagon. Załadowanie wagonu jest dziełem kilku minut. Ogromny, żelazny żóraw, umieszczony na przesuwalnym wozie, wysuwa, jak jakieś przedpotopowe zwierzę, ruchomą szyję, z niezmierną zręcznością zagarnia zębatą paszczą leżącą obok rudę,

podnosi się, przechyla głowę na drugą stronę i tam, otwierając przepaścistą gębę, wypłukuje jej zawartość wprost na podstawiony wagon. Trzy takie zagarnięcia i wagon gotów. „Gębacz” te ruszają się tak zręcznie, że niemalą satysfakcję sprawia śledzenie ich pracy, a praca to niemalą, jeśli się zważy, jak duży ciężar przedstawia ruda żelazna. W przeciągu 8-miu godzin ładuje każdy z nich przeciętnie 1000 ton minerału.

Kopalnie rudy pokryły zbocza góry „żelaznej” równoległymi tarasami, na których odbywa się eksploatacja. Po każdym tarasie idzie linja kolei elektrycznej. Wnętrze gó-

czerpnąć trochę wiedzy „na książce”, znajduje się niewielki kościółek, gdzie spotkała nas niespodzianka. Na drewnianej ścianie wnętrza znaleźliśmy przybity list rodaka naszego, ks. Józefa Jabłonowskiego z r. 1804, który w dosłownem brzmieniu tu przytaczam:

„Polonia me liberum
Genuit, educavit, vidit, audivit, sensit.
Et quamvis infelix Patria mea
Jam Gentium auxit cadavera
Me tamen
Si fractus illabatur orbis



Maszyna kolei elektrycznej, kursującej przez Laponję

ry poryte jest siecią tuneli prostopadłych, idących do jednego, 3.200 m. długiego, równoległego do poziomu. Wagony nadjeżdżają na tarasach ponad wyloty tych szybów i rzucają swą zawartość w dół, do wnętrza góry. Stamtąd załadowana ponownie, mechanicznie na wielkie 25—30 tonowe wagony wyjeżdża ruda wprost na dworzec kolejowy, a z niego w szeroki świat. Eksportowana jest głównie w postaci surowca.

Niedaleko Kiruny, w małej osadzie lapońskiej Jukkasjärvi, dokąd w zimowych miesiącach ściągają mali Lapończycy, aby za-

Impavidum ferient ruinae.
Dum peregrinans totam vidi Europam
Ut etiam independentes vidissem Sameos
Laponiam adveni
Die 12 Februar 1804 Juckasjerva.
Josephus Eusebius Princeps Jabłonowski
Ordin: Poloniae Aquilae Albae,
Princip: S. R. I. Ordin: St. Huberti
Et Sct. Johann. Hierosolimitani
Eques.”

Jest to pamiątka po ks. Jabłonowskim, generałe wojsk napoleońskich, który zginął potem na San Domingo. Spotkanie jej w tak

odległym i pustym kraju było dla nas naprawdę wzruszające.

Lapońskie dni minęły prędko. W słoneczny dzień wypadło nam żegnać ten kraj, gdzie w krótkim czasie przeżyliśmy wrażeń tak wiele. Wagon kolei elektrycznej niósł nas szybko i cicho przez tę ciekawą krainę ku zachodowi, jeziora, góry i torfy uciekały nam z przed oczu, aż wreszcie znikły. Wjechaliśmy w krajobraz zgoła inny, owiany oddechem północnego morza, nad ciche wody norweskiego fiordu.

*

Przed paru dniami wpadł mi przypadkiem w rękę list mój, pisany ongiś z Abiska do Polski, a w nim słowa: „Laponja jest bardzo piękna, ale tak smutna, że nie chciałabym tu mieszkać dłużej. O ileż piękniejsze nasze Tatry!” Że piękniejsze, to pewna! A jednak, wyjeżdżając z Laponji, uczułam żal! Jest w północnych krainach coś, za czem się tęskni, jakiś urok, którego nic za-

stąpić nie zdoła. Teren ten jest tak młody, tak jeszcze świeży i dzisiejszy, że ma się wrażenie, jakby dopiero co Bóg odjął od niego swoje palce twórcze. Widzieliśmy w kościele w Kirunie obraz, który wywarł na nas wielkie wrażenie. Był to widok Laponji, bezkresne nagie tereny, zimne i puste, nad niemi zaś z rozdartych chmur szły na ziemię ogromnem półkolem promienie światła. I, rzecz dziwna, w obrazie tym, malowanym dość nowocześnie, czuło się naprawdę Boga. Podobne wrażenie sprawia cała Laponja. A drugi urok Laponji, to białe, letnie noce! W tej nieustępującej światłości dnia jest jakby potęga i triumf. Jasność, to prawda, w ciemności kryje się zło, kłamstwo i przewina; jasność — to życie, ciemność — to jego wróg. I dlatego może rodzi się w duszy pragnienie powrotu w letnie dni do kraju, gdzie niema zmroku. Czy chciałabym mieszkać w Laponji — wątpię, to wiem tylko, że chciałabym ją zobaczyć raz jeszcze.

Citroën

Współczesna fabryka samochodów

Napisał

Bolesław Ruśkiewicz

inżynier E. S. A.

Samochód stał się już, na całym prawie świecie, artykułem pierwszej potrzeby, to też wszystkie fabryki, zajmujące się budową samochodów, starają się nawzajem prześcignąć, przedewszystkiem w dwóch kierunkach: po pierwsze dać w ręce klienteli wóz jaknajlepszy, po drugie jaknajtańszy.

Wydawałoby się mogło, że te dwa wymagania nie dadzą się pogodzić ze sobą, praktyka jednak, przy odpowiednich warunkach, mówi co innego. Naturalnie, że w mych rozważaniach biorę pod uwagę tylko to, co obchodzi szeroki ogół, to jest samochód „użyteczności publicznej”, nie zaś wóz luksusowy. W tym ostatnim bowiem wypadku cena nie gra prawie żadnej roli, wymagania klientów, w drobnych nawet szczegółach, są kolosalne, jak za przykład może służyć samochód, wykonany trzy lata temu w Ameryce, dla słynnej gwiazdy filmowej Mary Pickford, gdzie samo nadwozie kosztowało bagatelkę, bo „tylko” 25.000 dolarów.

Nie o fabrykacji takich więc wozów chcę mówić, bo to może interesować jedynie bardzo nieliczne jednostki, którym już nawet nietyle może i o luksus chodzi, co, prędzej powiedziałbym, o wyrzucenie pieniędzy dla zaimponowania innym.

Zaznaczam, że chodzi mi o wzięcie pod uwagę jaknajbardziej typowego przykładu fabrykacji na wielką skalę samochodów do-
brych, a tanich.

Pod tym względem w Europie, najbliżej klasycznych wzorów amerykańskich, bynajmniej nie naśladować ich niewolniczo, stoi francuska fabryka André Citroën w Paryżu, której właściciela i założyciela, genialnego zresztą organizatora, słusznie niektórzy nazywają europejskim Fordem. Potrafił on zasto-



stosować najbardziej nowoczesne amerykańskie metody pracy do wyprodukowania samochodu daleko bardziej odpowiedniego do wymagań mieszkańców Starego Kontynentu, niż wozy sprowadzane z poza Atlantyku.

Rezultat osiągnięty okazał się nadzwyczajny, fabryka rozrosła się w niezmiernie szybkim tempie, zaczęło już nie wystarczać wyrabianie wozów we Francji, otworzono, podobnie jak to ma miejsce zresztą i u Forda, własne fabryki montażowe w Belgji, Anglii i we Włoszech, dokąd wysyła się oddzielne części, z których na miejscu składa się całe samochody. Powodem do takiej polityki są zarówno cła ochronne, które bardzo podnoszą ceny importowanych samochodów, jak i poważna różnica w kosztach transportu kolejowego całkowitych wozów i oddzielnych części. Mówiąc cyframi: jedna duża platforma kolejowa służyć może do przewozu 4 niewielkich, kompletnych, samochodów osobowych, albo przy wysyłce oddzielnymi częściami, i umiejętnem pakowaniu większych partij części, taż sama platforma przewozić może średnio 20 samochodów.]

Fabryka Citroëna więc, szybko krocząc naprzód, podbija sobie poza Francją coraz no-

we rynki zbytu, a o to przecież powinno chodzić fabrykantowi przede wszystkim. Nawiasem mówiąc, by specjalizację swoją posunąć jaknajdalej, fabryka ta zarzuciła w końcu roku zeszłego produkowanie dwóch modeli: 5 HP. i 10 HP., skierowując całkowity wysiłek w kierunku jaknajwiększego udoskonalenia, bez podwyższania ceny, jedynie drugiego typu, to jest 10 HP. Model ten został utrzymany jako najlepiej nadający się do bardzo wszechstronnego użytku

Piszący te słowa miał przyjemność, jeszcze w bieżącym roku, pracować w tej fabryce, do której, nawiasem mówiąc, dostęp jest niezmiernie utrudniony, a nawet pozwolenia na zwiedzanie wydawane są jedynie w nader wyjątkowych wypadkach i to tylko do niektórych działów, pragnie więc podzielić się garstką swych, świeżych jeszcze, wrażeń z czytelnikami „Naokoło Świata”.

Przechodzę więc do krótkiego ogólnego opisu samej fabryki, ściśle nawet mówiąc, fabryk Citroëna, gdyż składają się one z czterech wielkich grup, położonych w samym Paryżu i na jego przedmieściach.

O wielkości tego przedsiębiorstwa dużo może powiedzieć choćby tych kilka suchych liczb, a mianowicie: ogólna powierzchnia terenów, zajętych pod fabryki, obejmuje 565.500 metrów kwadratowych, ilość obrabiarek, będących w ruchu, ogółem wynosi 10.486 sztuk, do napędu tych obrabiarek potrzebna jest moc 41.700 HP., której dostarczają własne elektrownie. Ogólna liczba robotników zatrudnionych waha się stale około 20.000 ludzi. Użyłem słowa „waha się”, gdyż wskutek dużych wymagań, oraz wielkiej dyscypliny pracy, prawie codziennie pewna ilość ludzi zostaje oddalona, a na ich miejsce przyjmuje się nowych. Stale więc, w godzinach rannych, widać przed główną bramą fabryki charakterystyczne gromadki oczekujących na przyjęcie do pracy.

Zasadą przewodnią wszystkich działów fabryki jest stałe dążenie do jaknajlepszej organizacji, jaknajdalej idąca specjalizacja, jaknajwiększe zastępowanie ludzi przez maszyny, oraz dążenie do oszczędzania na każdym kroku drogiego czasu, choćby nawet chodziło o ułamki minuty. Ponadto przez racjonalne rozmieszczenie kompleksu budynków, działów produkcji i wreszcie grup obrabiarek względem siebie w kolejności pracy dąży się

do zaoszczędzenia na czasie i kosztach przenoszenia i przewożenia materiałów surowych, półfabrykatów i części.

W dalszym ciągu niezmiernie ważnym, może nawet najważniejszym czynnikiem sprawnego działania całej tej kolosalnej maszyny, jaką jest ta fabryka, powiedziałbym nawet tajemnicą jej powodzenia jest umiejętność doboru ludzi oraz postępowania z nimi. Kiedy z jednej strony, jak to już uprzednio wspominałem, każdy może być, w myśl podpisywanego kontraktu, w ciągu jednej godziny wydalony, bez podania powodów, z fabryki, to z drugiej jednak strony każdy zdolny, staranny i ambitny prosty robotnik może mieć pewność dojścia, po pewnej ilości lat, nawet do najwyższych stanowisk, sprawa posiadania, czy nie, dyplomu z ukończenia wyższych studiów technicznych, nie jest brana zupełnie pod uwagę, ale jedynie i wyłącznie wartość danego człowieka, jako pracownika. Zbieraniem tych danych o każdym, nawet najskromniejszym, pracowniku zajmuje się specjalne biuro personalne.

Wszyscy prawie kierownicy działów i warsztatów, z którymi się w czasie mego pobytu w fabryce zetknąłem, byli, że tak powiem, wychowani przez fabrykę, pracując w niej od prostego robotnika, ale widać też było po nich, że nie wystarczało im samo pracowanie nawet z największem oddaniem się, że każdy z nich musiał jeszcze dużo pracować nad sobą, by uzupełnić pewne braki wykształcenia, ale po przejściu tak twardej szkoły, każdy z nich przedstawiał taki typ majstra czy kierownika, jakiego każda inna fabryka może pozazdrościć p. Citroënowi. Nie należy ponadto zapominać, że wszyscy ci ludzie, dzięki temu właśnie systemowi, byli bardzo związani do swych warsztatów pracy i całem sercem oddani fabryce.

Mimowoli nasuwa się porównanie z naszymi stosunkami: podczas gdy u nas młodzieńcy, pragnący poświęcić się technice, traci swe najżywniejsze lata na długie i uciążliwe studia, by następnie, pozbawiony znacznej części swej energii życiowej, w wieku lat 27. czy 28, zaopatrzony jednak w „Dyplom”, stawiać pierwsze kroki na polu pracy fachowej, wielu jego rówieśników Francuzów, Amerykanów, czy Anglików, przeszedłszy przez co prawda też twardą szkołę życia w fabrykach, pracuje jednak już przeważnie na kierowni-



Odlewnia

czych stanowiskach, o których tobie narazie wolno tylko marzyć, „młody” inżynierze.

Przepraszam za tę krótką filozoficzną uwagę, na którą sobie pozwoliłem, i powracam do właściwego tematu t. j. fabryki Citroëna. Przejdę więc pokrótce przez główne działy fabrykacyjne, a zatrzymam się jedynie trochę dłużej nad samą sprawą składania całkowitego samochodu, z uprzednio wyrobionych części.

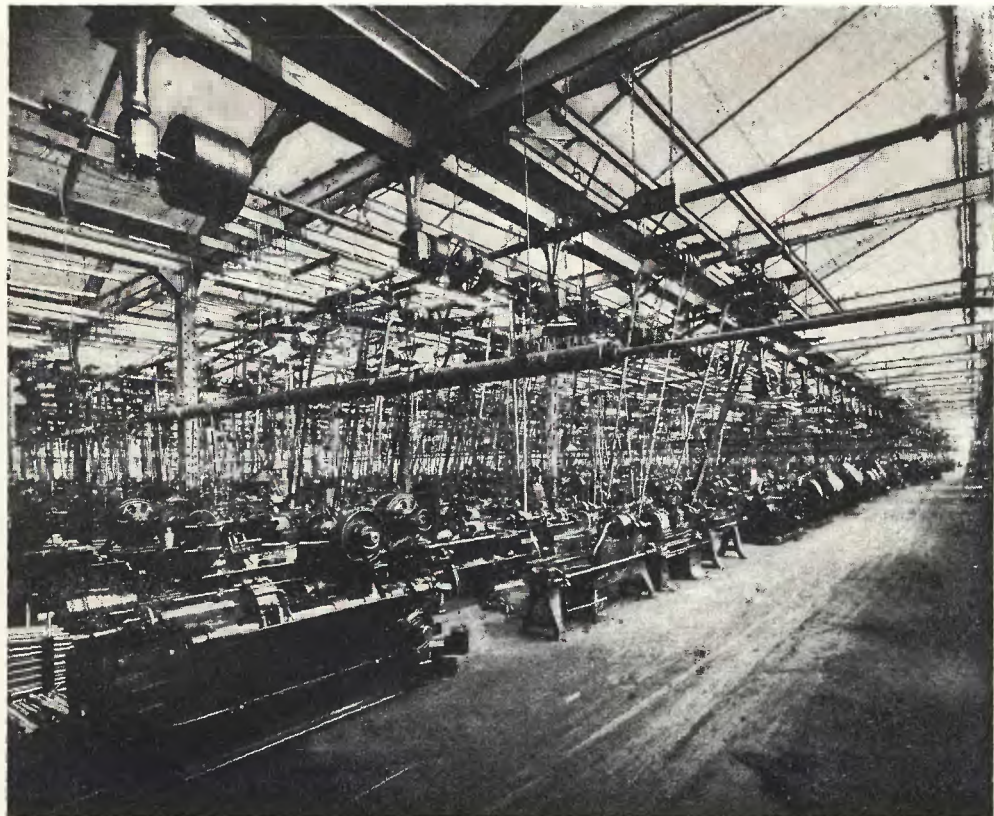
Pierwszem naturalnie miejscem, do którego napływają surowe materiały, które mają w przyszłości zamienić się na samochody, są składy i magazyny odbiorcze. Już one same mogłyby dać wygodne pomieszczenie kilku, nawet dość dużym, fabrykom, bo jedna choćby tylko kryta hala żelazna, przeznaczona na skład materiałów opałowych, może swobodnie pomieścić przeszło 11.000.000 kilogramów węgla i mazutu.

Wszelkie surowce, przybywające do magazynów odbiorczych, muszą oczywiście podlegać jaknajskrupulatniejszym badaniom, gdyż przecież przede wszystkim od wysokiego gatunku i jednolitości użytych przy fabrykacji

materiałów zależy dobroć i trwałość później wykonanych przedmiotów.

Tutaj należy podkreślić, że zarząd fabryki, wychodząc z zupełnie zresztą słusznego założenia, że rodzaje i gatunki materiałów, używanych do wyrobu poszczególnych części, stanowią w pierwszej linii tajemnicę fabrykacyjną, wprowadził własne oznaczenia. Na wszelkich więc rysunkach, instrukcjach roboczych i t. p. figurują te właśnie oznaczenia p.g. nomenklatury własnej, zaś zarówno pochodzenie, jak i skład odpowiednich materiałów, znane są zaledwie bardzo niewielkiej ilości ludzi, którzy się tem bezpośrednio zajmują, a którzy ponadto jeszcze umieją „trzymać język za zębami”.

Dalej widzimy na załączonych fotografiach dwie wielkie jasne hale, z których jedna została ukończona dopiero w pierwszej połowie roku bieżącego, są to odlewnie. Nie mogę tutaj wdawać się zbyt w szczegóły, mogące zainteresować jedynie specjalistów, zaznaczę dla charakterystyki jedynie, że zdolność produkcyjna obu tych działów odlewni



Hala obrabiarek

wynosi pokaźną, bądź co bądź, ilość 240.000 kilogramów odlewów, które można wykonać w ciągu jednego 8-mio godzinnego dnia pracy.

Obecnie całkowita zdolność produkcyjna obu tych odlewni nie jest wykorzystana, rozszerzono je w przewidywaniu dalszego rozwoju fabryki i jej zagranicznych oddziałów montażowych, o których uprzednio wspominałem.

Nie wszystkie jednak części samochodowe są odlewane, inne jak np. wały korbowe, czy korbowody są odkuwane, jeszcze inne jak np. ramy podwozia są wytłaczane na specjalnych prasach. Między temi prasami, jak choćby właśnie prasa do ram, są bardzo skomplikowane, a siła rozporządzalna, w niektórych z nich, dochodzi do 1.400.000 kilogramów. Prawie półtora miliona kilogramów, rozporządzalnych w jednej maszynie, to już nie bagatelka.

W dalszym ciągu swej wędrówki po fabryce, części, czy to odlane czy odkute, przechodzą z kolei do niezliczonych hal, w których długimi szeregami stoją zgrupowane wszelkiego rodzaju obrabiarki i na których stopniowo otrzymują swe ostateczne wymiary i kształty. Prawie wszystkie obrabiarki są automatyczne, przystosowane stałe do jednej i tej samej roboty, by praca szła jaknajszybciej i by jaknajmniej było potrzeba ludzi.

Przy tym systemie pracy ludzie wykwalifikowani są zato potrzebni jako kontrolerzy do sprawdzania wyrabianych przedmiotów, czy dokładnie odpowiadają żądanym warunkom. Części nieodpowiednie są bez wahania odrzucane, odbija się to jednak na robotniku, który do tego dopuścił. Zdarza się to jednak ogromnie rzadko.

Z poszczególnych działów gotowe części wędrują przy pomocy samochodów i specjal-



Hala wielkich pras



Obrabiarki automatyczne

nych wózków elektrycznych do działu montażowego.

Dział ten jest może dla szerszego ogółu najciekawszy, najbardziej uderzający wyobraźnię, pozwolę go więc sobie nieco szerzej opisać. Napływają tutaj wykończone oddzielne części, a wychodzą stąd po nalanu benzyny, oliwy i wody „o własnych siłach” gotowe kompletne podwozia.

Składanie podwozia odbywa się przy użyciu specjalnego urządzenia „łańcucha bez końca”. Urządzenie to polega na tem, że przez całą długość hali montażowej idzie rodzaj jakby stołu, którego wysokość jest tak dobrana, by umożliwić jaknajwygodniejszą pracę stojącym obok robotnikom, przez całą długość tego stołu, na specjalnych szynach, posuwa się na rolkach szereg małych wózeków, przymocowanych do łańcucha bez końca. Z jednego końca tego stołu kładą na nim ramę podwozia, która odrazu zaczyna, wraz z poruszającym się łańcuchem, zwolna posuwać się naprzód.

Przez całą długość stołu stoją po obu stro-

nach robotnicy. Praca rozdzielona jest w ten sposób, że każdy wykonywa stale tylko jedną i tę samą czynność, dochodząc w ten sposób do ogromnej wprawy.

Każdy z nich ma pod ręką wszelkie niezbędne przy jego czynności narzędzia, oraz stały zapas tych części, które zadaniem jego jest umocować na podwoziu. W ten sposób rama, wędrując wraz z łańcuchem, „porasta” w coraz to nowe części, w pewnym momencie z windy opuszcza się, na podchodzącą w tem właśnie miejscu ramę, silnik, gdzieś dalej zakłada się przednią deskę ze zbiornikiem do benzyny, potem chłodnicę i t. d., aż do ostatniej tak zwanej „operacji”, którą stanowi założenie kół i skąd już schodzi zupełnie gotowe podwozie.

System ten możnaby przyrównać do płynącej rzeki, która rozpoczyna swe istnienie jako mały strumień, a która, zasilana w swym biegu przez dopływy, staje się tem potężniejsza, im bliżej ma do ujścia.

Na załączonej fotografii widać po prawej stronie leżące ramy, przygotowane do mon-



Hala montażu podwozi

tażu, po lewej zaś właśnie ów stół montażowy, z zupełnie na nim wyraźnie widocznym „łańcuchem bez końca” i wózekkami na rolkach, oraz ze spoczywającymi na nich ramami, które im dalej tem więcej mają już na sobie zmontowanych części.

W zupełnie podobny sposób odbywa się również składanie silnika, z tą tylko niewielką różnicą, że łańcuch bez końca posuwa się na wysokości podłogi, pociągając swym ruchem wysokie pojedyncze wózki, na każdym z nich w początku zostaje umieszczony karter silnika, który stopniowo w miarę posuwania się przybiera postać gotowego silnika.

Już z tych kilku słów widać, że każda czynność wykonana być musi nie tylko dobrze i sprawnie, ale bezwarunkowo w przepisany czas, opóźnienie choćby o pół minuty jednego nawet robotnika, powoduje natychmiast brak pracy dla wszystkich następnych i ruch całego łańcucha trzeba zaraz zwolnić, względnie nawet wstrzymać, co od razu naraża fabrykę na wielkie straty. Jasnem więc jest, że bez przerwy prowadzone

są badania i próby, mogące pracę przyspieszyć i ułatwić.

Zaznaczyłem już poprzednio, że jedną z tajemnic powodzenia fabryki Citroëna jest odpowiedni dobór ludzi i racjonalna względem nich polityka. Drugą tajemnicą powodzenia, zdaniem mojem, jest ciągła dążność do ulepszania sposobów pracy i zupełne zerwanie z rutyną. Wychodzi się z założenia, że nawet najlepiej obmyślane wykonywanie tej czy innej czynności może być przeprowadzone jeszcze lepiej. W tym celu pozostawia się z jednej strony szeroką inicjatywę każdemu, nawet prostemu robotnikowi, wysłuchując zawsze jego uwag, odnośnie ewentualnego ulepszenia sposobu pracy w jego zakresie, z drugiej jednak strony istnieje specjalne biuro chronometrażu, którego zadaniem jest stałe sprawdzanie, poprawianie i wyznaczanie czasu, potrzebnego do wykonywania tej, czy innej „operacji”.

Jako uzupełnienie pracy biura chronometrażu służą specjalni „demonstratorzy”, składający się z dobrze wykwalifikowanych robo-

tników, których stawia się od czasu do czasu na miejsce tego czy innego robotnika i na jego osobie dokonywa się nowego prostszego wykonywania jakiejś manipulacji, czy poprostu tylko co jakiś czas kontroluje się, czy czasy "przednio wyznaczone nie stały się zbyt obszerne dla robotnika, który wskazaną czynność wykonywa.

Dzięki takiemu postępowaniu całość robi wrażenie czegoś żywego, co wciąż się zmienia i udoskonala.

Przy dziale montażu, jako ściśle z nim związana, znajduje się stacja próbna silników, na której, przed wbudowaniem ich w podwozia, huczy stale jednocześnie kilkadziesiąt motorów, oraz stacja próbna podwozi, która zastępuje próbę samochodu na drodze.

Ta ostatnia urządzona jest w ten sposób, że tylne koła samochodu ustawia się na dużym bębnie, umieszczonym pod podłogą, a zleńka tylko wystającym ponad nią i puszcza się silnik w ruch. Bęben połączony jest z silnikiem, który wskazuje wiele kilometrów "przejechał" samochód na tej próbie.

Nawiasem mówiąc, z działu montażowego wychodzi dziennie 220 gotowych podwozi, robi to rzeczywiście imponujące wrażenie jak jedna za drugą maszyna opuszcza „łańcuch" w odstępach niespełna dwu i pół mi-

nutowych. Gdym w tym dziale pracował, to mi się niestety przypominało stare polskie przysłowie o szewcu, co bez butów chodzi i pomyślałem, że jednak dobrzeby było, gdyby tak raz jedyna z tych 220 maszyn była przeznaczona dla mnie, jak dotąd pozostało to zresztą jednak w sferze marzeń.

Wypróbowane podwozia idą do działu karoseryj, które zresztą również są montowane w podobny sposób jak podwozia, t. j. przy pomocy „łańcucha bez końca", a stąd już w ostatecznej swej postaci czy to jako samochód torpeda, czy też karetka idą do magazynów, skąd je rozsyłają po całym świecie.

Ten krótki opis, który dotąd podałem, dotyczył samych fabryk, w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie można jednak zapomnieć o mózgu fabryki, gdzie w najściślejszej tajemnicy przeprowadza się wszelkie nowe próby i badania. Tym mózgiem jest umieszczone zdaleka od zgiełku fabrycznego w atmosferze ciszy i spokoju, w ogrodzie potężne laboratorium, prowadzone przez wybitnych fachowców, a do którego dostęp, poza kilku upoważnionymi osobami, jest absolutnie wzbroniony.

Tam, nieraz po długich próbach powstają nowe typy i modele, które już potem przejeżdża fabryka, by je wypuszczać masowo na użytek rzesz automobilistów.



Widok z lotu ptaka jednej z fabryk Citroën



Ilustrował A. Świdwiński

I.

Dzidzio wyjął nóż z rany...

Z łona otyłej doktorowej Kafrowej zaczął się sączyć strumyk krwi...

Dzidzio zamachnął się ręką raz i drugi, jak dyskobol, kosił, dla nabrania rozpędu — i uderzył ponownie!

Stał wjechała w pulchne ciało, jak w ciasto. Po sam trzonek. Ofiara wydała ostatni, przedśmiertny jęk — przewróciła białka oczne — i skoła.

— Ha, ha, ha, ha!

Dzidzio wybuchnął dzikim śmiechem...

Skoczył jednym susem do tak zwanej „łazienki”, w której miał przybory do golenia; potknął się o drewnianą balję, zastępującą wannę; wyrznął głową o schodki, zajmujące połowę całej szerokości wspomnianej łazienki; szukając poomacku, otarł się dłonią o coś mokrego, miękkiego i obrzydliwego.

— Aha! To świeżo uprany szlafrok tej poczwary, suszący się na blaszanej rurze oddawna nieczynnego, gazowego pieca...

Znalazł wreszcie to, czego szukał: Gilletkę.

Bo Gilletkę postanowił dokonać straszliwej operacji...

Dzidzio zdejmował skalp doktorowej Kafrowej z zimnem okrucieństwem. Naprzód podciął wstrętny kok, ukryty pod czupryną (żał się Boże!), imitującą uczesanie chłopczycy. Potem zaczął prowadzić maleńką, ostrą blachą dokoła karku, nad uszami, na skroniach, na czole...

Widział niegdyś, jak gajowy Wawrzon ściągał skórę ze świeżo ubitego lisa... Właśnie tak samo postępował!

Czytał był w swoim czasie, że Indianie śpiewali, skalpując śmiertelnych wrogów: i on zaśpiewał...

Szydliwie, ponuro.

Gdy był już bliskim finału — szarpnął mocno.

Skalp doktorowej został mu w zaciśniętej garści...

Wydał krzyk triumfu:

— Hej-Hooooo...!

Zamordowana Kafrowa leżała nawznak, okropna w skurczu przerażenia i nienawiści — a Dzidzio tańczył!

Z prawej — na lewą, z lewej — na pra-

wą nogę... Podskakiwał. Od czasu do czasu robił piruet. Tak, jak to niegdyś wyczyniał, zapamiętany z lat dziecięcych, baletmistrz Walczak...

Dzidzio zmęczył się po kwadransie tego potępieńczego fox - trotta. Więc usiadł. Usiadł — i zmarszczył surowo brwi, w zadumie.

— Teraz trzeba babę piec!

O upieczeniu doktorowej Kafrowej na blasze kuchennej nie można było marzyć... Blacha kuchenna nie istniała od dwu tygodni. O usmażeniu truposza na maszynie „Primus” też nie było mowy: „Primusa” Kafrowa w swoim czasie umyślnie zepsuła...

Więc postanowił piec ją na rożnie.

Rozniecił na samym środku pokoju duży ogień, rzucając na stos makulaturę, połamane krzesła, książki...

A pogrzebacz, stojący za nieczynnym piecem, użył, jako rożna.

Krajał Kafrową na drobne kawałki nożyczkami, bo sobie niewiadomo dlaczego ubrdał, że trup może czuć i że operacja krajania, dokonana z pomocą tępych nożyc, będzie dwa razy boleśnieszka...

Noża kuchennego, ani scyzoryka nie użył.

Krajał nieboszczkę perwersyjnie, drobne-

mi, częstemi ciachnięciami nożyczek; potem obracał szczątki Kafrowej nad ogniem...

Gdy upiekł całą, odetchnął.

Ale po sekundzie refleksji — uczuł nagły niedosyt.

— Zamało! Zamało!

Więc pobiegł do kuchni, wyciągnął z szuflady maszynkę do siekania mięsa — i wrócił z nią do swego pokoju, wydając okrzyki ogromnego ukontentowania.

— He-he-he...! Doktorowo! Teraz z pani będą kotlety i klops!

Wiedział, że na takiej maszynie preparować pieczystego się nie godzi. Wiedział, że taka maszynka służy wyłącznie do siekania surowca. Ale to nic. To nic!

Zmęł Kafrową na drobną miazgę, zapakował to wszystko w kosz (dziwił się zrazu, że taka olbrzymia baba waży tak mało, ale sobie potem uprzytomnił, że przecież ubył ciężar krwi, której miała tyle!), zapakował do kosza, staszczył ze schodów — i zawołał taksówkę:

— Wolny?

— Wolny!

Stargowali się akordem, bo nie chciał jechać na kilometry. Do Konstancina, tam i z powrotem, za 30 złotych.

— Jazda, panie gwiazda!

Fordzina ruszyła, brzęcząc.

Kosz ze szczątkami Kafrowej trzeszczał na tylnym siedzeniu.

W drodze nie posiadał się Dzidzio z radości. Cały czas mu się usta nie zamykały. W Wilanowie kazał stanąć — i zaprowadził szofera na wódkę. W Powsinie stanęli jeszcze raz, poprawili.

Dzidzio był hojny, jak nigdy, aż za hojny! I on, i szofer bełkotali, dojeżdżając do owego Konstancina. Zapadał zmierzch.

Na moście, nad Jeziorką malowniczo skrzywionym, kazał Dzidzio stanąć. Podczas gdy majster od Forda, tego zawiany, usiłował zawrócić w miejscu, tarmosząc biegi, pośmiewał się Dzidzio jadownicie:

— He-he! Umyślnie cię tu przytaszczyłem, jedzo! Umyślnie! W Jeziorce są sławne raki!... Będą cię jadły, zmor! Jak-em ci to w duchu sto razy za życia ślubował, poczwaro, tak teraz masz! Idź do raków! Niech cię pożrą! Huuu! A potem te raki zjedzą



Teraz z pani będą kotlety

waluciarze! Hi-hi! Bo uczciwych ludzi teraz na raki nie stać! Tak! Będziesz pokutowała we wnętrznościach jakiegoś okropnego lichwiarza z Nalewek! Huuuuuu...!

Kosz plusnął — i zniknął w rzece.

Doczesne szczątki Kafrowej pochłonęła noc...

Dzidzio klepał po ramieniu szofera, podskakiwał na wybojach szosy i mamrotał:

— Wykończyłem babę! Ha, ha! Zlikwidowałem!

Jakoś dojechali.

Przy rozstawianiu się z kierowcą taksówki rozrzewnił się Dzidzio.

— Masz, bracie - inżynierze, na sznapsa!

I wcisnął mu w łapę, zamiast należnych 30-tu, 35 złotych.

Szofer kiwnął się przy kierownicy, zaambalował, dał szusa — i utknął na najbliższej latarni.

A Dzidzio namacał niepewną ręką klucz w kieszeni — i zadzwonił do bramy.

— Hy-hy... — śmiał się głupkowato: — „Dom żałoby”! Hy-hy-hy...

— Hy-hy! „Dom żałoby”...

Dzidzio skakał po trzy schody, gramoląc się na czwartaka, i pośpiewywał, wesoły, jak ptaszek:

Stróżka czlapała właśnie przez podwórze.

Psysła wirkiem,

wirkiem posła,

malowane piórka niosła...

Malowane,

a nie białe —

W Poroninie dziwki stare...

A na łące

młodzusiennie,

mają gemby

słodzusiennie...

Jak-em jedną pocałował,

tom się trzy dni

oblizował...

— — Hej — — —!

II.

Zmuszeni jesteśmy teraz wyjaśnić P. T. czytelnikom, kim był dawniej okrutny morderca, nowoczesny Kuba-Rozpruwacz, Dzidzio...

Do wyjaśnienia tego skłania nas tragizm opisanej zbrodni, godzącej w podstawy porządku i moralności publicznej!

Owóż, dla charakterystyki Inocentego Dzidzia (myśleliście, że Dzidzio, to spiesz-czenie imienia? Nie! To nazwisko, takie samo dobre, jak i każde inne!) niezbędny jest nawrót do jego dziecięcych lat. Zapoznawszy się z Dzidziem w okresie przedmaturalnym, z Dzidziem w okresie młodzień-czym, wreszcie z Dzidziem - referentem — pocujemy, że nas dławia serdeczne łzy...

Tak jest. Łzy, a nie gniew!

Dzidzio odznaczał się od najwcześniejszych dni życia niezwykłą słodyczą charakteru. Miał serduszek miękkie, jak wosk, niezwykle czułe na krzywdę ludzką i cierpienia bliźnich. Bywało, poczubią się jego rówieśnicy: jeden drugiego rrrryms! — w łepetynę... A Dzidzio w bek:

— Nie lus go... Nie lus go! Co ty mu jobis?

Zobaczył mały Inio (Inocenty) Dzidzio, że dwaj nieznosni malcy męczą małego pie-ska, ciągnąc go za ogon. Wnet zalał się łza-mi:

— Dłacego robis mu to? Dłacego?

Taki już był!

Jeżeli dowiadywał się, że gdzieś kaczkę skubią, biegł na pomoc; jeżeli widział, że wieszają lep na muchy — odklejał biedne muszki; jeżeli słyszał, że komuś skórę łupią — sam darł się, jak opętany, dopóki nie zaprzestano brutalnej egzekucji...

Szły lata, z Inia Dzidzia zrobił się Inocenty Dzidzio, ale natura pozostała w nim ta sama. Mimo okrutnych wąsów, które mu się puściły, mimo pięknej, męskiej statury, mimo siły fizycznej, wcale niepośledniej, był słodki, jak miód i delikatny, jak mimoza...

Wybuchła wojna wszechświatowa. Inocenty Dzidzio skończył był właśnie 21 lat, więc musiał iść do wojska, volens - nolens, bronić całości zagrożonego rosyjskiego imperjum. Wcielono go do jakiegoś pułku piechoty, zdaje się, 136-go symferopolskiego, czy też saratowskiego — i zawagonowano z innymi biedakami — kierując na front.

Ale nie mieli w pułku z Dzidzia pociechy!

Pierwszego zaraz dnia, po kapuśniaku, kiedy się soldactwo gziło, rozbeczał się ria-

dowoj Dzidzio, jak dziecko, bo ktoś komuś dał z przyjaźni sółkę w bok...

Popatrzyli na Dzidzia, jak na warjata, ale jakoś się obeszło.

Następnego dnia jednak zdarzył się nowy casus, jeszcze osobliwszy: dowiedziałwszy się, że kuchty mają sprawiać dla pp. oficerów prosiaka, zerwał się nasz wojak, jak oparzony, pobiegł w podwórze, gdzie stała kuchnia oficerska, wyrwał oprawcom kwiczącego podświnka — i dalej w nogi.

Ludzie zbaranieli.

Rzecz doszła do władzy. Wezwano Dzidzia przed oblicze dowódcy rot. Dzidzio się trząsał. Rozmowa była krótka. Gdy się okazało, że szeregowiec Dzidzio nie dopuścił się pospolitej kradzieży, że raczej działał pod wpływem dziwnego altruizmu, salwując żywot owego prosiaka, podniósł się najpierw niesamowity ryk — a potem zapanowała grobowa cisza.

— Błaznojl

— Oczywiście, spiatlił...

Przyszli do wniosku, że Dzidzio jest mentecaptus. Chciano go nawet odesłać do szpitala. Ale pewien porucznik, natura subtelna, odczuł duszne męki Dzidzia. Zapytał kapitana szeptem:

— Iwan Siemionycz... A wy-by jewo w sanitary...?

Kapitan kiwnął głową.

— W samom d.elie...

I wylano Dzidzia z linii, odkomenderowując go do sanitariuszów.

Ale i tam niedługo popasł: na widok pierwszej rany — zemdlął!

Ostatecznie, popychali go raz tu, raz tam, wreszcie, widząc, że z tej maki nie będzie chleba — dali oryginalnego wojaka do jakichś kopaczy.

Daleko, za frontem.

Kopał coś pod Mohylowem, potem pod Orszą, faszynował...

Urwało się jednak i tu. Urwało, bo podczas kopania natrafiono (że to była pora dżdżysta) na długie dżdżownice wijące się pod łopata...

Dzidzio dostał spazmów, potem stanął do raportu, prosząc o zaprzestanie robót na tym odcinku...

— — — — —
Aż skończyła się wojna.

Nietyle zresztą skończyła, ile rozlaża po kościach...

Wygadany adwokat Kierenski póty jeździł po froncie, póty rezonował, aż się bractwo rozgadało na dobre — no, i rozlażło do domów. Przyszedł potem bolszewizm, ale Dzidzio otał się o bolszewizm zaledwie jednym bokiem. Zaniośło go bowiem gdzieś, nad Kamę, w takie puszczce, gdzie się żaden komisarz nie wagał. Mieszkali tam sektanci jacyś jarosze, którzy nawet mleka nie pili, wychodząc z założenia, że mleko jest dla cieląt.. Po za tem konsumowali jarzyny i surowe owoce (gotowane — grzech) i modlili się

od rana do wieczora, czcząc szczególnie proroka Pafnucego, o którym gdzieindziej skądinał, cicho. Tam-to żył Dzidzio, ucząc dziatwę wyplatania koszyków i robót ze słomy...

Aż go wywęszył jakiś zakazany polski komitet — i powrócił na ojczyznę łono.

Pięć tygodni wracał Dzidzio do Polski: 14 dni jechał końmi, 21 dni wagonem towarowym.

Aż przyjechał.

Było to w roku 1919-ym.

— — — — —
Ażeby zrozumieć, ażeby sobie uświadomić dokładnie dalszą ewolucję charakteru Dzidzia, trzeba wziąć na uwagę, że nieszczęsny reemigrant wylądował w roku 1919-ym w barakach Powązkowskich, goły,



Oczewidno spiatlił...

jak turecki święty. Od zaprzyjaźnionych Pańcucowców dostał był wprawdzie na drogę koszyk surowych ogórków i carskie 5 rubli w złocie, ale o tym wijatyku dobrnął zaledwie do Moskwy, mdlejąc z głodu...

Stał na ojczyściej ziemi, biedny i nagi, jak Hjob. Tyle, że jeszcze owijacze miał dobre (pamiętkę po austriackim infanterzyście, któremu się tam, w Rosji, zmarło na tyfus...) i buty jakie-takie...

Zresztą nic więcej.

Odwszenie, no, i odżywienie Dwidzia trwało blisko miesiąc. Poczciwie się nim zajęły różne komitety, darząc raz szwajcarską czekoladą, kiedyindziej literaturą patriotyczną. Summa-summarum, wydobrzał, a nawet dostał posadę: z uwagi na cenzus, długą kalwarię i mnogie dla skołatanej ojczyzny zasługi — dostał posadę pomocnika referenta, w wydziale synoptycznym ministerjum ogólnych celów. Ale mieszkanie do tej posady nie było przywiązane.

Mieszkania Dwidzia nie miał.

Mieszkał więc, kolejno:

Najpierw, jak się rzekło, w barakach na Powązkach.

Potem u jakiegoś litościwego skauta, kątem.

Potem, kiedy skaut w roku 1920-ym poszedł na front (Dwidzia nie wzięli, bo miał rupturę, a poza tem, jak wiadomo...), przeniósł się nasz pomocnik referenta do hotelu „Arkadja” (ładny ten hotel istnieje w okolicach ulicy Długiej), gdzie byłby może dłużej wytrzymał, ale go zmogły pluskwy, wielkie, jak byki.

Potem mieszkał czas jakiś w małym pokoiku, przy kuchni, u niejakich państwa Pęczykowskich. On pracował na kolei, ona — w magistracie. Ale się pp. Pęczykowskim urodziły bliźnięta — i pomocnika referenta ewakuowano.

Następnie zdarzyła się Dwidziowi niemiła przygoda: wziął z ogłoszenia „Niekrepujący dla pojedynczego”, ale się okazało, że to był dom schadzek: raz Dwidzia pobili jacyś pijacy, kiedyindziej skradziono mu ze stolika nocnego wszystkie oszczędności — 500.000 marek polskich! Poza tem stale go zaczepiały jakieś panienki...

W tym czasie, mniej więcej, spotkało Dwidzia wielkie nieszczęście: dowiedziawszy się o jego kwalifikacjach (Dwidzio zajmował się niegdyś z pasją meteorologją) awansował go nowy dyrektor departamentu na referenta!

Sytuacja materialna naszego Odysseusza zmieniła się nie do poznania: zamiast dotychczasowych 185-ciu złotych 18 groszy (liczono już wówczas na złote polskie!), zaczął pobierać Dwidzio 285 złotych 87 groszy!

— Majątek!

Utonął teraz biedak aż po uszy w ogłoszeniach, szukając godziwego mieszkania. Przypuszczał, że zarabiając więcej, zdoła nareszcie rozwiązać ten zawiliły problem... Że zamieszka, jak człowiek... Że będzie miał spokojny kąt, stół do pisania, szafę do ubrania, umywalnię i — kto wie? — kto wie? — może nawet dywan!?

Ale nadzieje okazały się płonnemi: Dwidzio wpadał raz po raz!

Mieszkał więc, w tym nowym okresie, u zubożonego rzeźnika, który się podczas wojny dorobił trzech sklepów. Cóż? Wysiadano go z apartamentu, bo nuworisz chciał gwałtem wydać za Dwidzia swoją najstarszą córkę, Józefę, która miała 40 lat — i zeza Dwidzio usiłował przekonać starego, że słubował czystość... Napróżno!

Panna Józefa wlaźła do jego izdebki, wołana — niewołana — i sypała do niego oko, raz prawe, a raz lewe.

A któregoś dnia, kiedy Dwidzio wrócił z biura i usnął, podniósł się nagle wielki rwetes: w pokoiku referenta znalazła się cała familja państwa Zygoniów (oni się nazywali Zygoniowie) i panna Józefa w neglizu, też

— Pan mi shanbiłeś córkę! — ryczał, czerwony, jak burak, patriarcha rodu. — musisz się z nią ożenić w trymiga, bo inaczej wont!

Józefa kwiliła, jak zarzynane kurczę (albo udawała, że kwili), pani Zygoniowa sapała w alteracji:

— I widzieliście też, moi ludzie? Takie chuchro, na co się odważył!

Siostrzyczki zasie (Zośka, Stęka i Lucka) mrugały na siebie porozumiewawczo i podtrzymywały ofensywę rodzinną:

— Faktycznie... Takie coś! Jak panu nie wstyd?

Koniec-końców wyleciał Dzidzio z tego mieszkania, jak z procy, uciekając przed oczywistym szantażem.

Pannicy bał się jak ognia: to też w pośpiechu, nawet kołnierzyków zapomniał, które się właśnie znajdowały na jednym kwicie z temi, które pan Zygoń...

Wcale ich nie odebrał z pralni!

Wpadł jednak jeszcze gorzej.

Wprowadził się do jakiegoś dentysty, mieszkającego arcy-wykwintnie.

Czego tam w tem mieszkaniu nie było! Kilimy, obrazki na ścianach, nawet fortepian był! Tylko teściowa dentysty, na oko bardzo elegancka dama, okazała się niebawem kryminalnym typem: wszystko kradła.

— Cóż, kleptomanka?

W przeciagu dwu tygodni zginęły Dzidziowi: 1) paczka zapalek, 2) „Wiatr od morza”, 3) „Przedwiośnie”, 4) szczoteczka do zębów, 5) trzy stare krawaty, wreszcie: 6) srebrny szwajcarski zegarek.

I wprowadził się...

Przedostatnie mieszkanie wziął w nowo-zbudowanym domu, u jakichś wytwornych, bogatych ludzi. Płacił słono, ale był już tak zmęczony tą tułaczką długoletnią, tą poniewierką, temi skandalicznymi sąsiedztwami, szantażami, pluskwami, kradzieżami — że wolał wydać raczej jedną trzecią urzędniczej pensji na dach nad głową, niż truć się ustawicznie.

Dał 100 złotych, za miesiąc zgóry...

Cóż? Okazało się niebawem, że woda na górne piętro nie dochodziła (o czem go wytworni gospodarze w swoim czasie przy zawieraniu umowy, zapomnieli uprzedzić), że kaloryfery w jego pokoju nie działały (o czem go też nie uprzedzono!), że winda nie działała...

Nadomiar złego, przedstawiono mu po miesiącu Notę, jak następuje:

Nota:

Dla JW Pana Inocentego Dzidzia — w/m.

1/3 świadczeń 15 złp. 20 gr.

Prąd 9 ..



Ale zmożył go pluskwy

Gaz	7	..
Usługa	20	..
Remont windy	10	..
Total	71	.. 20 ..

Słowami: Siedemdziesiąt jeden złotych dwadzieścia groszy...

Dzidzio przeoczył nawet, że w dodawaniu poszwindlowano niewinnie: że napisano „71” zamiast „61”...

Zrobiło mu się zimno, potem gorąco...

Pierwszy raz w życiu zgryztnął zębami.

Pierwszy raz, od urodzenia, zacisnął pięści...

Na czole nabrzmiała mu żyła...

Taki był początek demencji Dzidzia, która objawiała się zupełnie nagle; wyprowadzając się od tych wywrotnych ludzi, trzasnął drzwiami, jak ordynus... Bodaj, że nawet powiedział nagłos:

— Psiakrew!

III.

I wpadł w Kafrową.

Była już w tem, widać, jakaś Ananke

Pokój u d-rowej Kafrowej wziął Dzidzio nie z ogłoszenia, tylko „przez znajomych”

Zdarzyło się — bo w tym czasie, że umarł na suchoty galopujące jeden z urzędników ministerjalnych, eks-kolega Dzidzia, Biedacki. Skąd się wzięły te suchoty galopujące? — nikt podówczas, oczywiście, nie wiedział i nie podejrzewał... Przypuszczano ogólnie, że Biedacki zaziębił się, idąc do biura w palcie letnim (zimowe miał w lombardzie). O tem, że się po nieboszczyku otworzył wakans mieszkaniowy, dowiedział się Dzidzio od dalekiej kuzynki Biedackiego, na Powązkach.

Wziął — i pojechał.

Punkt był dobry, w śródmieściu, kamienica — niczego sobie.

Wdrapawszy się na czwarte piętro, bohater nasz nabrał tchu, raz i drugi, poczem przeżegnawszy się szybko, zadzwonił.

Za drzwiami rozległo się niebawem człapanie pantofli i niemłody już — ale i nie-stary — głos niewieści zapytał:

— Kto tam?

Dzidzio wylegitymował się przez łańcuch — i tu był początek końca!

— Pani dobrodziejka darować raczy, że ja tak nieufnie... Tak może, do pewnego stopnia brutalnie i obcesowo...

— O, nic nie szkodzi.

— Bo ja, proszę pani dobrodziejki, bardzo wiele nieszczęść przeszedłem i ostatnio mi się charakter nawet popsukł... Ale, jak Boga kocham, zaręczam, że jestem uczciwym człowiekiem, i że dotychczas — nigdy ja — tylko mnie — — —

— Widzę, że pan jest nerwowy.

— O, właśnie, pani dobrodziejko!

— Niech mnie pan, proszę, nie tytułuje panią dobrodziejką. Nie lubię tego! Proszę mnie już lepiej tytułować panią doktorową.

— Stokrotnie przepraszam, pani doktorowol!

— Niema za co.

— Więc mogę mieć nadzieję, że pani Dob — przepraszam stokrotnie! — że pani doktorowa raczyłaby ewentualnie?

— Zobaczę.

— Bo ja pani doktorowej najmniejszego ambarasu nie zrobię, słowo daję!

— Hmm...

— Byłbym niewymownie wdzięczny...

— Jutro panu odpowiem.

— Nigdy nie zapomnę!

— Komorne zgóry.

— Tak jest! Naturalnie! Jakżebym mógł — —

— I żadnych wizyt.

— Samo przez się...

Taka była ich pierwsza rozmowa — i ostatnia.

Nazajutrz, po wpłaceniu pieniędzy, dowiedział się nagle Dzidzio rzeczy strasznych... Doktorowa Kafrowa nie dała mu przyjść do słowa, pokwitowania nie wydała, wchodzić frontowem wejściem zabroniła, używać wanny (czytaj: balji!) nie pozwoliła. Wyreklamowała tylko, głosem, krew w żyłach mrozącym:

— Mężczyzn znam dobrze i wiem, że są wszyscy łajdacy, i że jak się słaba kobieta nie broni, to wszystką krew wypiją i nawet dziurki nie zostawia, tak! Więc niech pan sobie nie wyobraża, ażebym się pozwalała teroryzować za te nędzne 75 złotych miesięcznie! Mąż mój, nieboszczyk, był w gruncie rzeczy zacości człowiek, ale go, nicponia, paraliż tknął, za moje krzywdy i lzy wylane... Potem, ktokolwiek tu mieszkał, z lokatorów, ot, chociażby ten ostatni pański koleżka, birbant i rozpustnik, co to w suchoty wpadł samochcąc, i skończył w Otwocku, jak na to zasłużył — — — wszyscy chcieli mi swoje fumy pokazywać! Ale nie dali rady! Kobieta bezbronna jestem, samotna, ale swój rozum mam!

Zakotył się brzuch baby, zadrgał groźnie podwójny podbródek, Dzidziowi zaczęło się nagle ćmić w oczach...

Uzupełniła:

— Ja pana tylko ostrzegłam.

Zaciął się w niemej rozpacz Dzidzio, zaniemówił. Nocami gryzł poduszkę, albo cicho szlochał. Nie o to mu chodziło, że wody gorącej mu nie dają, że w piecu nie palą, że się przyzwócicie umyć nie pozwalają, że mu wstępu do kuchni zabraniają, że nim pomiatają, że go kopią — tylko o to, że się stał przestępcą!

— Przestępcą!

On, Inocenty Dzidzio, referent w mini-



Pan mi szańbiłś córkę

sterjum ogólnych celów, człowiek niegdys niewinny, jak dziecko, czysty, jak śnieg i łagodny, jak jagnię...

Bo, zanim człowiek cios śmiertelny zada, zanim dłonie we krwi bliźniego ubroczy — już wie zazwyczaj zgóry, że zabije...

Dzidzio wiedział...

Przyszło to na niego tej samej nocy, kiedy go Kafrowa zmieszała z błotem, udając się na spoczynek, po znanej rozmowie...

— Ja tę babę zakatrupię!

I zakatrupił...

— O, męko...!

IV.

Czy zauważyliście światło, na Wspólnej na 4-em piętrze, pod numerem 236-ym?

To tam...

To tam się stało.

Dzidzio wylańcowuje po opustoszałym mieszkaniu od dwu tygodni.

Nago.

Że Kafrowa służącej przez skapstwo nie trzymała, i że teraz, w porze letniej, wszyscy myślą: „wyjechała” — nie niepokoi Dzidzia nikt: ani dozorca domu, ani policja.

Szofer, który z nim jeździł do Konstan-cina, o niczem nie pamięta, bo się przecież pamiętnego wieczoru kompletnie urzynał...

Bełkot Dzidzia, plusk kosza... Wszystko zataił alkohol.

Dzidzio mieszka nareszcie!

Mieszka! Sam! We własnym mieszkaniu!

Oczywiście, zaniepokoi się któregoś dnia ministerjum ogólnych celów.

Oczywiście, pośle dowiedzieć się o urzędnika, który się tak zaniedbał.

— Czy chory? Czy wyjechał z Warszawy?
Oczywiście, zawiozą Dzidzia wreszcie do
szpitala Jana Bożego...

mę strasznego obłądu, uwiecznionego po-
nurą zbrodnią?

Ciekawe, jak też nazwą po łacinie ski-
ra mieszkaniowego, który stoczył tego czło-
wieka...?

Ciekawe, jak też nazwą po łacinie for-

Zdzisław Kleszczyński.





Noe, pierwszy nawigator



R y ś i ż b i k

Ostatni Mohikanie puszczy

Pośród nielicznych większych ssaków drapieżnych krajowych posiadamy dwa gatunki dzikich kotów, są nimi ryś i żbik.

Oba te gatunki zamieszkiwały niegdyś wielkie przestrzenie Europy. Trzebież wielkich obszarów leśnych, jak też namiętne tępienie spowodowały, że teren przez żbika i rysia zamieszkały znacznie się w obecnych czasach zmniejszył. Tylko wielkie i mało dostępne, zwłaszcza górskie, kompleksy leśne Europy kryją w swym wnętrzu tych niezbyt licznych przedstawicieli kocięgo rodu.

Żbik przewyższa rozmiarami swemi jak też i siłą kota domowego. Ubarwienie jego gęstej i długiej sierści jest płowo-szare, niekiedy brunatno-szare, lub nawet czarniawe. Przez grzbiet ciągnie się czarna pręga. Boki ciała i nogi są też mniej lub więcej wyraźnie czarno pręgowane. Ogon jest na całej swej długości równy lub nawet na końcu

grubszy, puszysty, czarno obrączkowany : czarno zakończony. Spód ciała jest białawy.

Obecnie żyje żbik w środkowej i południowej Europie, aż po wybrzeża morza Śródziemnego, w Hiszpanji i na Kaukazie. W Niemczech jest on nieliczny, tak jak w Anglii i Szkocji; częściej spotyka się go w Alpach, na Węgrzech i na Bałkanach. Na tym rozległym obszarze występuje on w kilku dość wyraźnych odmianach.

W obecnych granicach Polski spotyka się go prawie wyłącznie w Karpatach, łącznie z podgórzem, i na Pokuciu. Wiadomości, jakoby zamieszkiwał on lesiste Polesie, wymagają należytego potwierdzenia.

W dawniejszych czasach zamieszkiwał żbik lasy lubelskie, mazowieckie, jak też i góry Świętokrzyskie.

Siedzibą żbika są rozległe, gęste lasy szpilkowe, zwłaszcza górzyste. Wśród nich

obiera on sobie legowisko w niedostępnych gąszczach, zwalach skalnych lub w lisich czy borsucznych jamach. Żywoć prowadzi żbik samotny, tylko w pewnych porach roku, np. podczas rui, można go spotkać w towarzystwie swych pobratymców.

Drapieżnik ten prowadzi żywot nocny, na łowy też nocą lub o zmroku wychodzi, dzień zaś spędza w ukryciu. Wszelka zdobycz jest dla niego dobra, byleby nie była, jak na jego siły, zbyt wielka. To też nie oszczędza on drobnego ptactwa, myszy, zajęcy i t. p., napada też na młode sarny i jelenie. Myszy i ptactwo stanowią jego główne pożywienie; według Brehma, w norach zamieszkanym przez żbiki znaleziono kości i sierść chomików, szczurów, różnych myszy, kun i tchórz; w małej tylko ilości znajdowały się tam resztki ptactwa. Znany przyrodnik szwajcarski, Tchudi, znalazł w żołądku zabitego żbika resztki 26-ciu myszy. Potrafi też żbik łowić z wielką zręcznością ryby, które łapą wyrzuca na brzegi wód. Zmysły ma on doskonale rozwinięte, zwłaszcza słuch i wzrok; powonienie gra u niego, tak jak u innych kotów, drugorzędną rolę.

Do upatrzonej zdobyczy podkrađa się żbik z niezwykłą zręcznością i cierpliwością. Podkradłszy się dość blisko do swej ofiary, wielkim susem ją dopada, silne i ostre pazury wbija w jej ciało i stara się przegryźć tętnice karkowe, lub rozszarpuje jej gardło. Usadawia się też na drzewach i z góry, niespodziewanie, spada na przechodzące zwierzę.

Ze względu na tępienie wielkich ilości myszy można uważać żbika za zwierzę pożyteczne, w tym też duchu odzywali się w Niemczech przyrodnicy i leśnicy. Bez względu zaś walkę wypowiedzieli mu od dawna myśliwi, którym czyni on znaczne szkody w zwierzostanie łownym. Z powodu prawie zupełnego wytępienia żbika w wielu krajach niemieckich, zaczęto się tam zastanawiać, czy nie byłoby wskazaniem zaliczyć go do zwierząt, podlegających częściowej lub nawet zupełnej ochronie, by w ten sposób zachować pewną ilość żbików, jako „żywe pomniki przyrody”. Myśli te wprowadził w czyn w ks. Baden, ogłoszwszy dwuletnią ochronę żbika na przeciąg lat 1914—16. Pora rui wypada u żbika na marzec, podczas niej zgromadzone wokół kotki i kocury

staczają pomiędzy sobą krwawe walki, które niejedną nawet śmiercią przypłaca, a których ślady spostrzec można niekiedy na upolowanych okazach samców.

Na polowaniach nagankowych żbik zjawia się przed inną zwierzyną. Podczas polowań z psami, te ostatnie zazwyczaj zapędzają żbika w niedostępne miejsca, np. w gąszcze, na drzewo lub skałę. Przeciw psom żbik broni się zajadłe, zadając swemi silnemi i bardzo ostremi pazurami ciężkie rany. Zdarza się, że silny żbik jest w stanie dać radę nawet kilku psom i, choć mocno poturbowany, z życiem wychodzi z opalów. Osaczony staje się niebezpiecznym dla myśliwego. Różni autorowie zgodni są w tem, że na polowaniu na żbika należy postępować bardzo ostrożnie, zanadto się doń, gdy jest osaczony przez psy, nie zbliżać, a zwłaszcza nie ryzykować niepewnych strzałów, które mogą tylko zwierzę ranić i tem więcej jego złość spotęgować. Z polowań na żbiki przytoczyć można sporo ciekawych wydarzeń, z których jednak myśliwi nie zawsze obronną ręką wychodzili, a nawet, choć rzadko, życiem swą namiętność przypłacili. Brehm np. przytacza zdarzenie, w którym pewien gajowy podczas wypłaszania w pojedynkę żbika z dziupli, w której się ten był ukrył, został przez niego napadnięty. Żbik skoczył mu na plecy, i nim pomoc nadbiegła i rozwścieczoną bestję zabiła, tak mu kark, szyję i twarz poszarpał, że nieszczęsny tegoż dnia ducha wyzionął.

Chów żbika nie należy do łatwych, pod względem jedzenia jest on wybredny, bierze on prawie wyłącznie pokarm żywy, jak myszy, szczury i drobne ptactwo, karmiony mięsem podlega łatwo chorobom i ginie. Wyjątkowo otrzymać można od chowanych żbików potomstwo. Według Brehma w ogrodzie zoologicznym w Düsselorfie urodziły się w 1890 roku młode żbiki, także we wrocławskim zwierzyńcu dochowano się młodych. Według doniesienia dyrektora tego zwierzyńca, po nieudanych próbach, czynionych z 11-tu żbikami, otrzymano od dobrze chowającej się pary żbików corocznie, począwszy od roku 1907, w ciągu pięciu lat po 3—5 młodych, z których część udało się wychować.

Drugim z kolei dzikim kotem krajowym był ryś. Kształtem różni się on dość znacz-



Bagna poleskie, ostatnia ostoja rysia

nie od kota domowego i żbika; jest on od nich obu znacznie większy, tułów i ogon są krótkie, nogi zaś długie. Uszy posiadają na końcach pędzelki z dość długich i gęstych włosów, cecha ta jest charakterystyczną dla wszystkich prawie gatunków rysia. Ubarwienie rysia jest bardzo zmienne, zimą jaśniejsze, niż latem. Sierść jest barwy rudawej z ciemniejszymi, brunatnymi lub czarnymi plamami, które rozrzucone są po całym ciele, najsłabiej uwidaczniają się one na bokach. Głowa jest duża z białawymi bokobrodami i teżże barwy długimi wąsami. Uszy szarawe i nasady czarne, zakończone już wyżej wzmiankowanymi pędzelkami czarnych włosów. Ogon krótki, u nasady biały, czarny, mniej więcej od połowy aż do końca. Samica jest zwykle ciemniej ubarwiona; młode rodzą się prawie białe. Długość ciała rysia, nie licząc jego krótkiego ogona, dochodzi do 130 cm., wysokość wynosi koło 75 cm. Najczęściej spotyka się okazy, ważące do 30 kg., niektóre jednak zwierzęta, pochodzące z Norwegii, dochodzić miały do wagi 45 kg.

Według Rzączyńskiego w Polsce rozróżniano trzy odmiany rysia: ryś cieleń, lub ryś wilk, największy, brunatno plamisty; ryś pies, średniej wielkości o długiej sierści, bez plam; ryś kot ciemniej ubarwiony z czarnymi plamami. Możliwe jest, że odmiany te są tylko wahaniami w obrębie zmienności gatunkowej, zwłaszcza, że znajdowano młode, różnie ubarwione, a należące do jednego gniazda. Według jednych autorów, w Europie zamieszkuje tylko jeden gatunek rysia w kilku podgatunkach, według innych żyja na tym obszarze dwa gatunki.

Na obszarze ziem polskich zamieszkuje ryś pasmo Karpat wraz z podgórzem, w Tatrach zdaje się być bardzo rzadkim; poza tym Kresy Wschodnie, gdzie prawdopodobnie przebywa we wszystkich większych obszarach leśnych Wołynia, Polesia i Białej Rusi, możliwe jest, że zachodzi też do Puszczy Białowieskiej. Brak jest wiadomości o występowaniu rysia na zachód od Bugu, prawdopodobnie nie pojawia się on w tych stronach. Na obszarach Polski przez

się zamieszkałych jest ryś wszędzie nieliczny.

W Europie zamieszkiwał niegdyś znaczne przestrzenie, obecnie jednak został on podobnie jak żbik, w wielu krajach doszczętnie wytępiony. W krajach skandynawskich jest on jeszcze częsty, zwłaszcza w okolicach górzystych; w Niemczech został on już prawdopodobnie wytępiony, z wyjątkiem może wschodniej części Prus Wschodnich. W zachodnich Alpach może się jeszcze spotyka, brak go jednak w większości kantonów Szwajcarii; w Karyntji, Krainie i Styrii trafiają się jeszcze pojedyncze sztuki. w Tyrolu ostatni okaz rysia został zabity w roku 1872. Nierzadki jest ryś w Siedmiogrodzie, Rumunji i Bułgarji. W krajach nadbałtyckich zabito w latach 1900 — 11 sztuk rysiów. W obecnych granicach Rosji europejskiej, zwłaszcza w północnych jej częściach, nie należy on do rzadkości. Poza granicami Europy zamieszkuje ryś Syberję, na południe dochodzi aż po Turkiestan.

Ryś zamieszkuje wielkie, gęste lasy szpilkowe. Porą zimową, zwłaszcza gdy jest przynaglony głodem, opuszcza swe zwykle miejsce zamieszkania i podchodzi nawet do osiedli ludzkich. Żywoć prowadzi on samotny, wędruje z miejsca na miejsce, zatrzymując się na dłuższy pobyt w okolicach, obfitujących w zwierzynę. Wyjątkowo tylko można spotkać parę sztuk rysiów razem: według niemieckiego pisma łowieckiego „Jagdzeitung” zabito w roku 1862 w Małopolsce na polowaniu 4 rysie w przeciągu 2 dni, w innym wypadku, także w Małopolsce, na polowaniu nagankowem zabito 3 rysie jednego dnia.

Jeżeli kilka rysiów wybiera się na wędrowkę lub łowy, to po tropie, przez nie zrobionym, można poznać, czy jedno, czy też więcej zwierząt tym tropem przeszło, gdyż z tyłu idące wstępują dokładnie w trop pierwszego, tak, że w powrotnej drodze zawychazają idą pierwotnym tropem.

Ofiarami rysia stają się zwierzęta, pozazawszy od myszy i drobnego ptactwa, a skończywszy na sarnach, głuszcach i cietrzewiach. Według Schinz'a poluje on w Alpach na borsuki, zające, świstaki, głuszce, cietrzewie i pardwy. Zwłaszcza niebezpiecznym jest dla sarn, w których zwierzostanie czyni ogromne spustoszenia, tak np. w pe-

wnej miejscowości w Małopolsce zachodniej jeden ryś w ciągu jednej zimy wyniszczył prawie doszczętnie bogaty stan saren. Nietylko dla zaspokojenia głodu morduje on swe ofiary, zdarzało się, że w stadach kóz lub owiec, czynił on istne rzeźnie, mordując w ciągu jednej nocy do 30-tu sztuk; w innym wypadku zabił on 8 owiec i nie napoczął żadnej. Wybredny pod względem pożywienia wybiera tylko najlepsze kaski, resztę zaś pozostawia, pije też chciwie świeżą krew swej ofiary.

Do upatrzonej zdobyczy podkrada się ryś z wielką zręcznością i zwykle jednym lub co najwyżej paroma olbrzymimi susami, mierzącymi do 5-ciu m. każdy, ją dopada. Brehm przytacza ciekawy opis polowania rysia na zająca, które po śladach na śniegu pozostawionych, można było łatwo odtworzyć; zając siedział na skraju gąszczu sosnowego, przypierającego do dużej polany, ryś, znajdujący się prawdopodobnie pod wiatrem, podkradł się do niego; zając jednak, zauważywszy zawczasu niebezpieczeństwo, ratował się możliwie szybką ucieczką poprzez polanę. Mimo to ryś dopędził go w dziewięciu olbrzymich susach, mierzących po 13 stóp każdy.

Najczęściej bywają strzelane rysie na polowaniach nagankowych, podczas których okazują one całą swoją przebiegłość i zręczność w omijaniu strzelców. Na linję strzelców wychodzi zwykle ryś późno, już przed samą naganką. Polowanie z psami na rysia zdaje się być pod względem wyniku pewniejsze od polowania z naganką, psy jednakże muszą być silne i wytrwałe, powodzenie zaś zależy w znacznej mierze od ich szybkości. Goniony ryś kluczy przed psami z wielką zręcznością, daje olbrzymie susy w bok, biegnie wzdłuż leżących pni drzewnych, wskakuje na skały i t. p., wszystko to po to, by psy zbić z tropu. Osaczony przez psy przewraca się na grzbiet i wszystkimi czterema łapami zadaje im niebezpieczne ciosy, wówczas może się stać niebezpiecznym dla łowcy.

Oswojenie rysia w przeciwnieństwie do żbika jest łatwe. Rozpoznaje on swego pana, staje się łaskawym i pieszczotliwym i nie okazuje względem niego złości. Ciekawe obserwacje zawdzięczamy Loewis'owi, który dłuższy czas hodował młodą rysicę. Po pa-

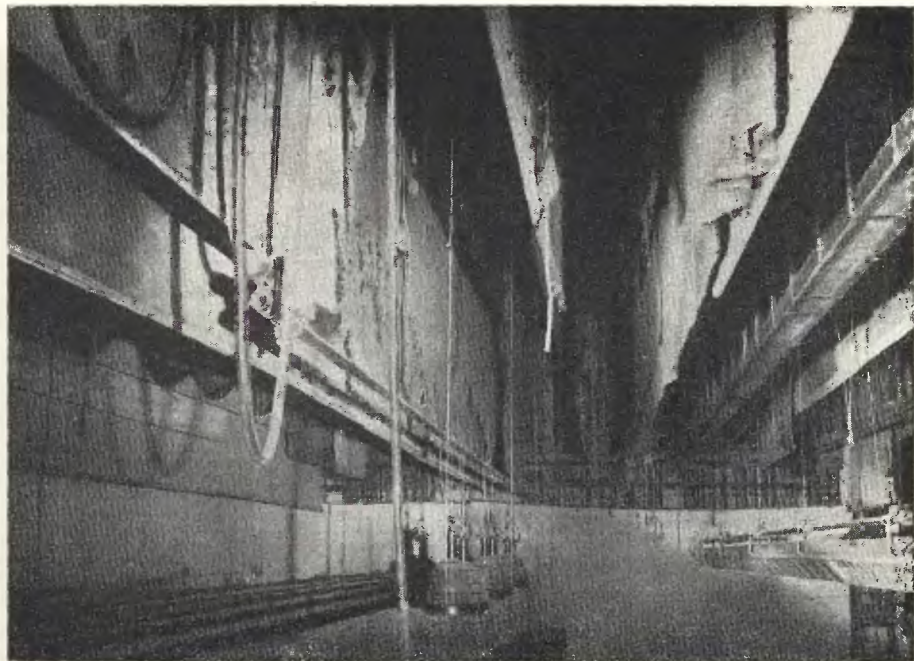
ru miesiącach nauczyła się ona odróżniać swe imię. Stała się tak posłuszną, że na głos swego pana natychmiast zaprzestawała nawet zażartej pogoni za zającem lub drobiem. O ile swemu panu i jego bratu była uległa, o tyle inni domownicy nie byli w stanie głosem jej poskromić. Obrabiała sobie za ulubiony kąt miejsce na dachu koło komina. Jeśli jej pana nie było w domu, to tam spędzała noce. W razie nocnego powrotu swego pana na sam odgłos turkotu pojazdu w susach z dachu zeskakiwała i polem do niego biegła, wpinała się łapami na pierś i obejmowała niemi jego szyję, głośno mruczac dawała oznaki swej radości. Podczas dłuższej jego nieobecności stroniła od ludzi, szukała go po wszystkich zakątkach, aż wreszcie obrabiała sobie za siedzibę pobliski lasek, nie pobierała z kuchni pokarmu tylko na noc powracała do swego kąta na dachu. Jakkolwiek nie zawsze regularnie surowem mięsem karmiona, chowała się dobrze, nie pogardzała też mięsem gotowanym lub pieczonem. Do kotów domowych pałała niepowściągliwą nienawiścią, dopadnięte roz-

dzierała w mig na sztuki, to też w krótkim czasie wszystkie domowe, jak też sąsiedzkie koty wymordowała. Wedle zdania hodowców ryś jest dość trudnym do utrzymania w niewoli. Wybredny pod względem pożywienia, zapada nagle, mimo troskliwej opieki, na zdrowiu i w krótkim czasie ginie. W zwierzyńcu sztokholmskim dochowano się kilkakrotnie młodych rysiów.

Oba po krótko omówione gatunki naszych dzikich kotów zasługują, by się z nimi szersze warstwy naszego społeczeństwa zapoznały jako z jednymi z najciekawszych zwierząt, należących do naszej fauny. Z naukowego punktu widzenia należy żałować, że tak mało wiadomości o ich występowaniu dochodzi do sfer przyrodniczych.

Nietylko jednak pożądane są wiadomości, bardziej jeszcze pożytecznymi od nich byłyby skóry i czaszki zwierząt krajowych których nie posiadamy zbyt wiele po naszych muzeach przyrodniczych.

Dr. J. Fudakowski.



Z za kulis operowych

Napisał

B. Szarlitt

Odkąd istnieje teatr, wszystko, co się dzieje za kulisami, otoczone jest dla publiczności nimbem, pełnym tajemniczego czaru. W dawnych atoli czasach wejście zbliżało w świat zakulisowy działało raczej „rozczarowująco”, gdyż cały aparat sceniczny był jeszcze bardzo a bardzo prymitywny. Inaczej jednak ma się rzecz dziś, gdzie dzięki wysoko rozwiniętej technice scenicznej i sztuce dekoracyjnej aparat ten naprawdę owiany jest jakąś atmosferą czarującą. Pod tym zaś względem teatr operowy prześciga bezspornie wszystkie inne sceny. Wynika to już z istoty utworu operowego, czerpiącego treść akcji przeważnie z dziedziny romantycznej. W dodatku *zasadniczy zurot*, wywołany w dziejach opery przez *Ryszarda Wagnera*, postawił scenie operowej zupełnie nowe, nieznane jej przedtem zadania.

To też profan, wchodzący po raz pierwszy w życie za kulis nowocześniejszego teatru operowego, ma wrażenie, iż dostał się do jakiejś krainy czarodziejskiej. Już sam *rozmiar sceny* budzić w nim musi niemałe zdumienie, gdyż ogromem swym przekracza ona wszelkie jego wyobrażenia. Jest to bowiem jakby gigantyczna hala, w której przede wszystkim uderza jej niespodziewana *wysokość*. Ta górna część sceny przykuwa też najpierw wzrok.

Na pierwszy rzut oka trudno jednak zorientować się, co to wszystko razem przedstawia. Zupełnie to bowiem podobne do jakiegoś zakładu przemysłowego, gdyż roi się od lin, łańcuchów, rusztowań, mostów, galerij, różnorodnych przyrządów, kółek, lamp elektrycznych i t. p. Dopiero po bliższym rozejrzeniu się, oko odróżnia przedewszyst-

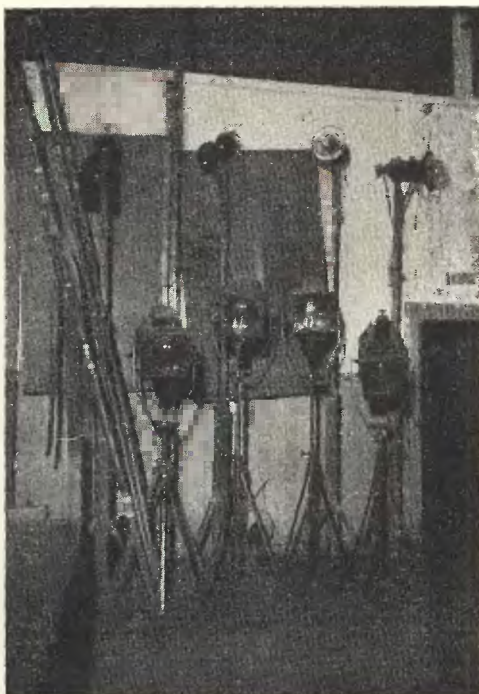


W głębi olbrzymich rozmiarów sceny Opery Warszawskiej

kiem cały magazyn — *dekoracyj*, zawieszonych na tych wysokościach. Jeżeli o scenie słusznie powiedziano, że to „deski wyobrażające świat”, to i tego świata „stworzenie” odbywa się — „z góry”. Tam znajdują się wszystkie — góry, lasy, łąki, ogrody, rzeki, jeziora i morza, tam niebo lazurowe i pełne chmur, tam roi się od świątyń, wspaniałych sal, pałaców, domów, chat, placów i ulic, ba nawet całych miast. Wszystko to „wisi w powietrzu” i czeka na owe czarodziejskie „Stań się!” — „boga tym światem rządzącego”: *reżysera*.

Ale pozorny ten „chaos”, z którego co wieczór wylinać się ma inny „świat”, w przeciwieństwie do mitologicznego, w największym utrzymywany być musi ładzie, ponieważ na scenie wszystko „staje się” na jedno skinienie. Co przed chwilą jeszcze było „ogrodem”, w następnej ustąpić musi miejsca „górze” lub „rzece”; gdzie znajdował się „cudowny pałac”, tam nagle stoi „uboga chatka”. Każda z części składowych tego „świata” musi przeto tam „na wysokościach” w odpowiednim znajdować się porządku, ażeby w danej chwili mogła być „stworzona”. Rolę zaś „aniołów”, pomagających „bogowi” — reżyserowi przy tym akcie twórczym, odgrywa cała armia pracowników zakulisowych, posiadająca, dzięki długoletniej praktyce, niesłychaną wprawę. Nie wszystkie jednak dekoracje mogą się pomieścić na scenie. Znaczną ich część przechowuje się w osobnych magazynach i przywozi stamtąd wozami specjalnej konstrukcji do teatru.

Do najciekawszych dekoracyj należą te, które mają służyć do uzmysłowienia *katastrofalnych* zdarzeń, jak np. pożaru (klasyczny przykład w „Hugonotach” Meyerbeera). Przedstawiają one, powiedzmy, najpierw wspaniałą salę, która w toku akcji staje w płomieniach i rozpada się cała, a pozostają tylko zgłiszczka i gruzy. Otóż taka dekoracja jest w ten sposób ustawiona, że za jej „frontem” znajduje się już *druga część*, przedstawiająca zgłiszczka i gruzy. W chwili więc, gdy cała sala z powodu pożaru — „spłonęła i rozpadła się”, pozostaje na scenie — druga dekoracja. Pierwszą, w danym momencie, pracownicy za kulisami zapomocą lin — wywracają.

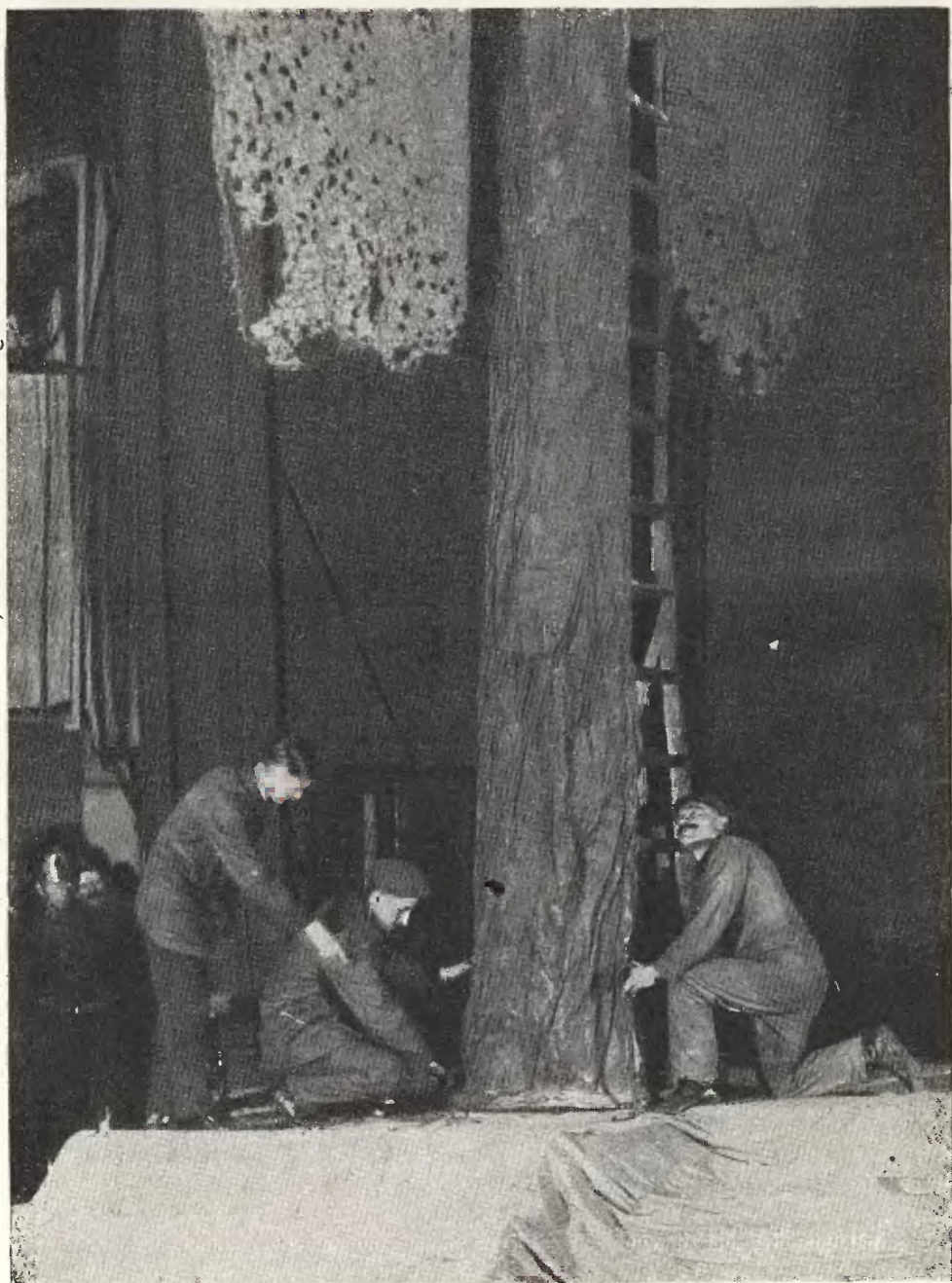


Oto „gwiazdy i słońce” teatralne

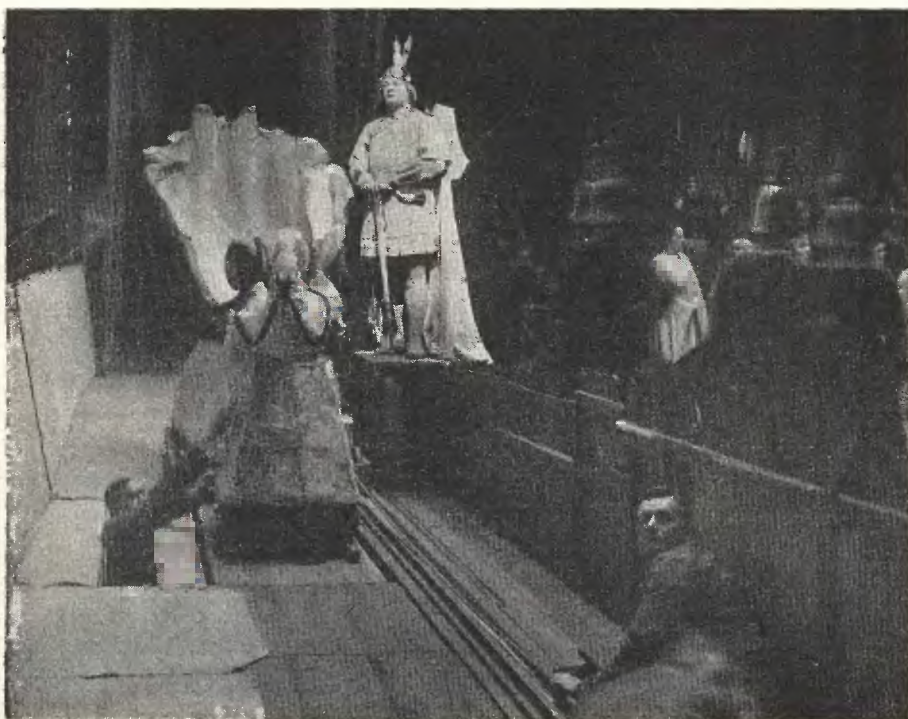
Obok właściwych dekoracyj (malowanych), największą rolę odgrywają t. zw. *plastyczne* części dekoracyjne, jak drzewa, skały, galerje, balkony, krużganki, schody, całe domy, chaty i t. p. Wszystko to musi być odpowiednio umocowane i na próbach co do swej wytrzymałości jaknajdokładniej zbadane, ażeby śpiewakom i śpiewaczkom żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Osobną kategorię stanowią — „środki lokomocyjne”. Tu nowoczesna technika sceniczna świeci prawdziwe triumfy. Wystarczy przypomnieć wspaniałe „okręty” w wagnerowskim „Holendrze Tułaczcu”, wjeżdżające na scenę i wyjeżdżające z niej w sposób niesłychanie ładujący. Dzieje się to zaś zapomocą specjalnej maszyneryj. W dość prosty natomiast sposób odbywa się np. wjazd Lohengrina na łódce, ciągniętej przez łabędzia, jak to widzimy na rycinie.

Istny arsenał najróżnorodniejszych aparatów znajduje się za kulisami dla wywołania wszelkiego rodzaju „*zjawisk naturalnych*”, jak burzy z błyskawicą i grzmotem, wiatru,



„Stwarzanie” drzewa do „Lohengrina”



Wjazd Lohengrina, widziany z za kulis

wschodzącego i zachodzącego słońca lub księżycy, gwiazd, wodospadu i t. p. W świecie uludy, jakim jest scena, wszystko daje się uzmysłowić zapomocą środków w gruncie rzeczy wcale nieskomplikowanych, a jednak działających na wyobraźnię widza w sposób, łudząco do prawdziwości podobny. Jaką grozą napełnia nas w teatrze np. huk grzmotu, wywołany za kulisami prosto — waleniem w specjalny, dużych rozmiarów *bęben*, wprawiany w ruch zapomocą automatycznie działającego przyrządu. Podobnie ma się rzecz z huraganem lub wiatrem, do którego wywołania służy dość prymitywna „machina”, składająca się z dużego walca i korby. Na walec napięty jest kawał *jedwabnego materiału*, który, ocierając się o obracany szybko zapomocą korby walec, wydaje szmer łudząco podobny do świstu i szumu wichury. *Plusk deszczu* wywołuje się również bardzo łudząco przez — *potrząsanie grochem* w dużym sicie.

Wcale nie „tajemniczo” przedstawiają się w świecie zakulisowym „ciała niebieskie”.

Obie główne planety, przyświecające ziemi naszej, tutaj mało się tylko od siebie różnią. Zarówno „słońce” bowiem, jak i „księżyc”, wschodzą i zachodzą na scenie dzięki podobnie skonstruowanym aparatom świetlnym. Pełne czaru zaś „gwiazdziste niebo”, za kulisami wygląda, jak to widzimy na naszej rycinie.

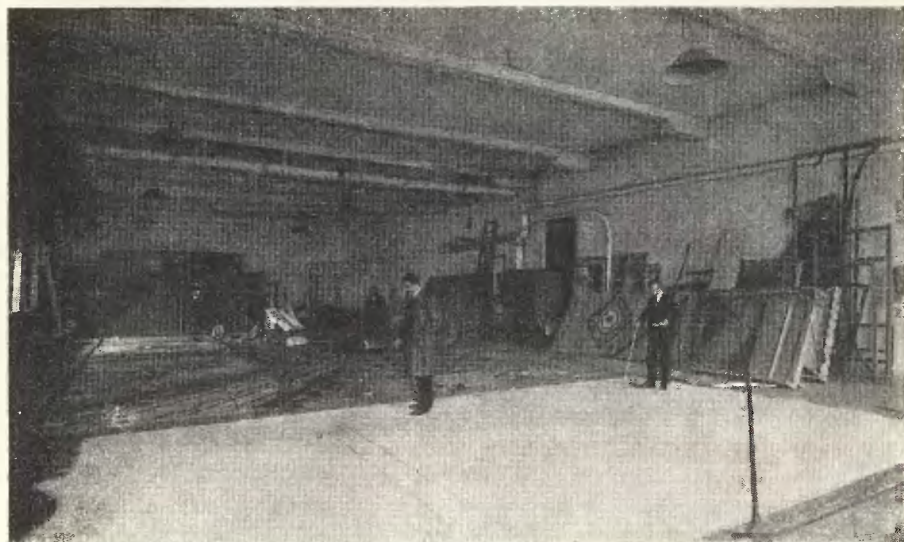
Oczywiście, że jednym z najważniejszych czynników w świecie uludy scenicznej jest — *światło*. Datuje się to zaś dopiero od chwili, gdy technika elektryczna tak olbrzymie poczyniła postępy. Dawniej, gdy musiano się posługiwać lampami naftowymi lub światłem gazowym, naturalnie mowy być nie mogło o tych bajecznych efektach, jakie dziś reżyser osiąga zapomocą światła elektrycznego, przepuszczanego przez całą „kombinację spektralną” z różnokolorowych szkieł. Starsze pokolenie pamięta też te „dawne czasy”, kiedy to „najwspanialszym efektem” na scenie było t. zw. — światło bengalskie. Kto zaś czytał najwcześniejsze, a już tak wspaniałe feljetyony o Warszawie *Henryka*

Sienkiewicza, ogłaszane w „Gazecie Polskiej”, przypomina sobie pełne humoru opisy „pękających szkiełek od lamp na scenie” i „parterowego deszczu t. j. oleju z tych lamp, jak wogóle marnego, w porównaniu z widownią oświetlenia sceny.

Obok światła, największe znaczenie przypada *dekoracjom i kostjumom*. Pod tym względem wymagania nowoczesnego teatru operowego są bez porównania wyższe, aniżeli potrzeby sceny dramatycznej. Przyczynił się zaś do tego w głównej mierze *Ryszard Wagner*, którego dzieła, zrodzone nie tylko z ducha muzyki, ale i malarstwa, pchnęły sztukę operową na zupełnie nowe tory. Wprawdzie w sztuce dramatycznej na długo przed Wagnerem t. zw. *Meiningenczy* i dyrektor sławnego wiedeńskiego „Burgtheater”, *Dingelstedt*, spowodowali zasadniczy przełom w dziedzinie dekoracyjno-kostjumowej. Ale opera dopiero dzięki mistrzowi bayreuckiemu osiągnęła w tej dziedzinie wyżytnę, na której dziś się znajduje. Dawniej „malarz dekoracji teatralnych” uważany był za artystę „drugorzędnego”, Wagner zaś wznosił go na należne mu stanowisko, i oddał dzieło malarza dekoracyjnego uważane jest za *skłcdnik zasadniczy* utworu scenicznego.

To też każdy wielki teatr operowy mieć musi pierwszorzędnych walorów artystę-malarza, który zajmuje się stroną dekoracyjną utworów operowych. Nasza Opera posiadała do niedawna takiego artystę w osobie znanego profesora, *Wincentego Drabika*, obecnie zaś p. *Józefa Wodyńskiego*, Tworzenie dekoracji wymaga naturalnie niemałego aparatu. W Teatrze Wielkim znajduje się też specjalne, ogromnych rozmiarów atelier, w którym stwarza się, podziwiane później przez publiczność cuda dekoracyjne (zobacz rycinę). Tworzenie dekoracji wymaga także licznych robót stolarskich, nasz teatr operowy posiada też przeto własną *stolarnię*.

Niemniej ważną, jak dekoracyjną, jest w teatrze operowym dziedzina *kostjumowa*. Dawniej nie przykładano do „prawidłowości” kostjumu zbyt wielkiej wagi i dlatego też roilo się na scenie operowej od rozbrajających „anachronizmów” i wogóle dziwactw kostjumowych. Zasługą *Meiningenczyków* i *Wagnera* pozostanie na zawsze, że zerwali oni z tym istnym kalejdoskopem kostjumowym i nauczyli reżysera dbać o *wierność historyczną* każdej szaty sceniczej. Z czasem powstała cała nauka o kostjumach sceniczych i dziś już chyba tylko w jakiejś



*Malowanie dekoracji nie wymaga sztalug, gdyż odbywa się na podłodze
(Na środku: artysta malarz Wodyński)*

prowinjonalnej budzie spotkać się można jeszcze z dawną pod tym względem nonszalancką pstrokacizną. Nie trudno sobie jednak wyobrazić, jak kosztowne jest sprawianie kostjumów scenicznych. Nasz Teatr Wielki odznacza się niezwykle w tej dziedzinie bogactwem, z którego zaledwie część widzimy na jednej z rycin. Kiedy się ogląda te wszystkie cuda, nagromadzone w wielkich magazynach, ma się naprawdę wrażenie bajki z „Tysiąca i jednej nocy”.

Do dekoracji i kostjumu przybywa jeszcze jeden czynnik, pozornie tylko drugorzędny,

mina zupełnie *zbrojownię*, jak to widzimy na jednej z rycin. W licznych operach odbywają się wspaniałe „uczty”, wymagające „bogato zastawionych” stołów. Wszystkie „potrawy i napoje”, wnoszone przez służbę, są oczywiście tylko t. zw. *atrcpami*, czyli doskonałymi imitacjami. Te sztuczne „tworzy kulinarne” znajdować się muszą w rekwizytorni w największym porządku, ażeby na czas mogły dostać się na scenę. Dalej potrzebne są najróżnorodniejsze „zwierzęta” (np. dla powrotu z polowania), posągi, fontanny, zegary i obrazy. Jednym słowem



Jeden z magazynów kostjumowych Teatru Wielkiego

w rzeczywistości jednak wielkiej wagi: t. zw. *rekwizytl*.

W gwarze zakulisowej mianem tem ochrzczone każdy przedmiot, którym artysta czy artystka posługiwać się muszą w swej roli. A więc wszelkiego rodzaju broń, laski, parasole, wachlarze, torebki, koszyki, szkatułki, puhary, klejnoty, kwiaty, różnego rodzaju instrumenty muzyczne i t. p. W dziełach operowych niemała, jak wiadomo, rola przypada rycerzom, żołnierzom, spiskowcom i t. p., którzy muszą odpowiednio t. j. według danej epoki być uzbrojeni. Dlatego też pewna część t. zw. *rekwizytorni* przypo-

wszystko, co w tym świecie uludy zastąpić ma świat rzeczywisty.

Można się zatem łatwo domyślić, jaka ilość ludzi jest za kulisami potrzebna, by ten cały, tak skomplikowany, aparat sceniczny należycie funkcjonował. Za wszystko zaś odpowiedzialny jest *reżyser*, w którego rękę zbiega się, jakby niewidzialne druty, cały ten splot sprężyn, puszczających w ruch olbrzymią maszynę zakulisową. Teatr Wielki posiada w p. *Popławskim* niezwykle zdolnego mistrza sceny. Czynność reżysera operowego jest bez porównania trudniejsza aniżeli reżysera dramatycznego, przede-



Rekwizytornia przygotowuje „ucztę” sceniczną, którą się niestety nasycić nie można, gdyż „dania” są z gutaperki

wszystkiem dlatego, że jest ściśle złączona z — muzyką, nie cierpiącą *najmniejszej zwłoki* w toku akcji sceniczej. Reżyserowi operowemu *nie wolno spóźnić się o sekundę*, bo — *orkiestra czekać nie może*. Jeden *jedyny* *takt* opóźniony spowodować bowiem musi — „wykolejenie się” całego przedstawienia! Próby w teatrze operowym wymagają też przeto o wiele większych wysiłków, aniżeli w teatrze dramatycznym.

Zanim bowiem jeszcze może być mowa o przygotowaniu *akcji sceniczej*, soliści, solistki i chór muszą najdokładniej opanować część *muzyczną* (partje) swych ról, której gruntowne wystudjowanie połączone jest z dużym nakładem pracy. Odbywa się ono najpierw przy *fortepianie*, pod kierownictwem t. zw. *korepetytorów*. Osobnemu zaś kapelmistrzowi powierzone jest należyte przygotowanie *muzyczne chóru* i on też w czasie przedstawienia zawsze jest za kulisami, a często nawet w *przebraniu* wśród chórzystów na scenie. W Operze warszawskiej zadanie to spełnia młody, utalentowany Włoch p. *Dagobert Polzinetti*. Dopiero po tych studjach rozpoczynają się — *próby z orkiestrą*,

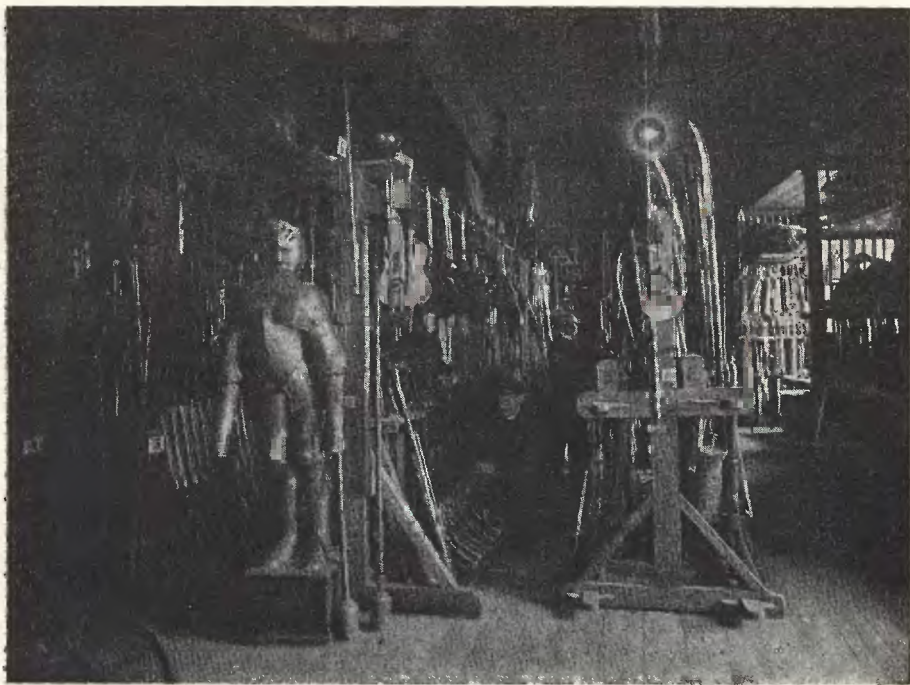
na których to próbach przygotowuje się także część *dramatyczną*. W tej części uwaga reżysera skupiona jest w pierwszej linii na *chórze*, ponieważ jednoczesny występ całego szeregu ludzi, którzy *wspólnie* odegrać mają swoją rolę, z największą przygotowany być musi skrupulatnością. Niemniejszą jest praca reżysera nad *najróżnorodniejszymi efektami scenicznymi*, których utwór operowy w znacznie większych wymaga rozmiarach, niż dramat, a które znowu przez wzgląd na *muzykę* wykonane być muszą na czas co do sekundy. Rzeczą reżysera jest wreszcie odpowiedni dobór *kostjumów i rekwizytów*.

Do niezwykle trudnych zadań teatru operowego należy przygotowanie — *baletu*, którego przeważnie nawskroś *fantastyczna* akcja, połączona jest z ciągłymi zmianami dekoracyj i efektów, a przedewszystkiem z jaknajskrupulatniejszym przygotowaniem *wielkich mas* t. zw. *corps de balet* i ich kierowaniem na scenie. Praca ta należy do t. zw. *baletmistrza*, którego funkcje w naszym teatrze operowym spełnia znany szczytnie p. *Zajlich*.

Przyjrzyjmyż się teraz temu wszystkiemu, co się dzieje za kulisami operowymi w czasie, kiedy na scenie odbywa się przedstawienie.

Już na samym wstępie ujawnia się zasadnicza różnica między wystawianiem dzieła operowego a dramatycznego, polegająca na ścisłej łączności pierwszego z — muzyką. Kurtyna w teatrze dramatycznym podnosi się z chwilą, gdy akcja się rozpoczyna; w operowym zaś dopiero po przebrzmieniu t.

na widowni publiczność zachwycą się coraz bardziej tem wszystkim, co się na scenie dzieje, za kulisami gorączkowa odbywa się praca. Każdy musi tu być na swoim posterunku, by w danej chwili, jak kółko w mechanizmie, spełnić co doń należy. W miarę jak akcja sceniczna postępuje naprzód, za kulisami przygotowuje się dalszy jej ciąg. Artysci i artyści, którzy mają wyjść na scenę, wyczekują znaku, danego im przez t. zw. *inspicjenta*; kierownik światła wydaje swo-



„Zbrojownia” wystarczająca na uzbrojenie całej „armji” operowej

zw. *uwertury*. Na scenie wszystko jest już przygotowane do pierwszego aktu, ale czekać musi. — aż *kapelmistrz* ze swego *pulpitu* dać znak zapomocą dzwonka elektrycznego. Działa on naprawdę „elektryzująco” na cały aparat sceniczny, który na odgłos dzwonka zaczyna swoją funkcję. W światku teatralnym oddawna utarł się zwyczaj, że artyści i artystki — nawet ci, którzy największą cieszą się sławą — w tym momencie — znakiem krzyża dodają sobie otuchy — — —

Przedstawienie rozpoczęło się więc. Gdy

je zlecenia, dotyczące potrzebnych zmian w oświetleniu sceny; kierownik dekoracyjny dba o odpowiednie w tej dziedzinie zmiany. Wszystko to zaś odbywać się musi z niesłychaną precyzją. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że w świecie zakulisowym panuje zawsze jakieś nerwowe naprężenie. Pewne podniecenie ujawnia się jedynie, kiedy chodzi o *premjerę*. Zazwyczaj zaś, wobec doskonale wypróbowanego aparatu scenicznego „praca zakulisowa” idzie sobie wśród najlepszego nastroju wszystkich udział w niej

biorących osób. Czasami tylko, gdy wieczór szczególnie jakoś „pechowo” się układa, nie brak irytacji i pewnego zdenerwowania.

„Normalne” zaś wieczory odznaczają się atmosferą niezwykle sympatyczną, gdyż ludziom „świata zakulisowego” wrodzony jest dobry humor. Przejawia on się przede wszystkim w garderobach artystów i artystek, gdzie po najtragiczniejszych scenach odegranych na deskach teatralnych, rozlega się — serdeczny śmiech.

Oczom profana, który wszedł za kulisy, przedstawia się nieraz zabawny widok. Oto np. Lohengrin siedzi z Telramundem przy — partyjce szachów, Elza zaśmiewa się z dobrego „witza”, opowiadanego jej przez samego — króla Henryka. Do ulubionych „zabaw” światka operowego należy przysłuchiwanie się za kulisami śpiewowi kolegów lub jakiegoś „gościa” i — odpowiedniego „krytykowania” go. Często też artyści płatają sobie wzajemnie różne „figle zakulisowe”.

Tymczasem zaś na scenie „akt się skończył”. W chwili, gdy kurtyna opadła, a publiczność bije brawo, za kulisami masz wrażenie istnego mrowiska. Zaczyna się bowiem

„stworzenie” aktu następnego. Cała armia pracowników zakulisowych z niesłychaną szybkością i zdumiewającą zręcznością „rozbiera” akt poprzedni i „stawia” nowy. Wszystko „idzie jak na sznurku”, bo każdy z pracowników, dzięki długoletniej praktyce obznajmiony jest najdokładniej z „repertuarem operowym”. Przypatrując się tej szczególnym czarem owianej pracy, profan stwierdza jednak z pewnem zdziwieniem, jak mało poetycko w gruncie rzeczy przedstawia się „odwrotna strona medalu” t. j. te wszystkie cuda dekoracyjne, które na widowni tyle budzą zachwytu. Oto kilku pracowników dźwiga jakieś monstrum z listew drewnianych i płótna workowego, na którym, jak na bagażu kolejowym, widnieje dużymi literami napis: „II akt Halki — lewa strona”. Monstrum to jest częścią „ogrodu”. Inni znowu noszą jakieś „rusztowanie”, które przy bliższych oględzinach okazuje się — „płotem ogrodowym” i t. p. Zupełnie to jak w bajce, gdzie jakiś „zaklęty” przedmiot nagle całkiem odmienny przybiera kształt i wygląd. W iście bajkowy też sposób opróżniona przed chwilą scena już za-



Reżyser Popławski wyznacza rekwizyty dla premjery



*Najtrudniejsze chwile w życiu artystów. (Pierwsze próby z orkiestrą)
(Michałowski) (Kapelmistrz Fitelberg)*

czyzna przemieniać się w „dworek polski z ogrodem i płotem”. Elektrotechnicy ustawiają jeszcze za dekoracją, przedstawiającą dworek, dwie tarcze z kolorowymi żarówkami, a na scenie — z „okien dworu już bije światło” na ogród. Jeszcze kilka poprawek, przesunąć i — pan inspicjent daje znak, że następny akt się rozpoczyna. Artyści i artystki, występujący w tym akcie, stają już za bocznymi kulisami, bądź też na samej scenie, oczekując — podniesienia się kurtyny.

Orkiestra już gra, a na scenie akcja toczy się dalej. My zaś możemy teraz, stojąc za jedną z bocznych kulis, obserwować dokładnie grę artystów i artystek z zupełnie nowego dla nas punktu widzenia. Przy tej sposobności stwierdzamy, że tuż przy kurtynie pełni służbę swoją *strażak*. Jest to przepis policyjny, obowiązujący we wszystkich krajach od czasu wielkiej katastrofy pożarnej, której w 1881 r. uległ słynny wiedeński „Ringtheater”. Co nas przede wszystkim uderza, gdy przypatrujemy się akcji na scenie, to niezmiernie trudne zadanie śpiewaków i śpiewaczek: w czasie grania swych ról a więc wysokiego napięcia dramatycz-

no-aktorskiego, muszą oni ciągle mieć, niepostrzeżenie dla publiczności, na oku — *batutę kapelmistrza*, by na dane skinienie „wpaść” ze swoim śpiewem. Na domiar zaś zmuszeni są jednocześnie — *uchem* łowić słowa szeptane im przez — *sufflera*. Nawiasem mówiąc, *suffler operowy* ma bez porównania trudniejsze zadanie, niż jego kolega w tea-



Pokoik artystów za sceną daje możliwość wypoczynku podczas prób



Gruszczyński przestacza się w Lohengrina
(Fryzjer) (Garderobowy)

trze dramatycznym. Musi on przede wszystkim być człowiekiem nawskroś muzycznym, gdyż „podpowiada” tekst nie z libretta, lecz z t. zw. wyciągu fortepianowego, a więc z uwzględnieniem wszelkich prawideł muzycznych. Odpowiedzialność jego jest zatem niemała, zwłaszcza jeśli chodzi o t. zw. śpiew ensemblowy, o duety, tercety i t. d.

Jak wysoce męczący jest występ artysty operowego, męczący nie tylko w znaczeniu duchowym, ale i czysto fizycznym, — z tego publiczność wcale nie zdaje sobie sprawy. Pojęłaby to dopiero, gdyby mogła po skończonym akcie ujrzeć reprezentanta wielkiej partii operowej — *oblanego potem*. I zrozumiałaby też wtedy, że wysokie gaże, jakie płacić się musi śpiewakom operowym, są najzupełniej uzasadnione. Nietrudno bowiem wyobrazić sobie, że natężenie sił duchowych zarówno jak i fizycznych, jakiego wymaga śpiew operowy, wyrównane być może tylko odpowiednio wygodnym i spokojnym trybem życia. Zapomnieć też nie należy, że głos ludzki jest instrumentem o niezwyklej sub-

telności, któremu ze wszystkich stron grozi niebezpieczeństwo. Artysta i artystka teatru operowego muszą przeto ogromnie dbać o swoje zdrowie. Kiedy np. zgrzani po występie na scenie, wracają do swych garderob. łatwo mogą się przeziębici. Częste niedyspozycje u śpiewaków i śpiewaczek operowych wynikają też przeważnie z tej nagłej zmiany temperatury. Oczywiście, że dbają oni skrupulatnie o zapobieżenie przeziębieniu się. Soliści i solistki oczekiwani są zazwyczaj za kulisami przez służbę garderobową z odpowiednimi ciepłymi okryciami, a powróciwszy do garderoby wypoczywają przez pewien czas i odświeżają się nacieraniem wodą kolońską. Niemało nużąca jest dla śpiewaków i śpiewaczek częsta zmiana *kostjumu*, której utwór operowy w znacznie większej wymaga mierze, aniżeli dramatyczny. Kostjum przyczynia się też w dość znacznym stopniu do utrudnienia zadania artystycznego, zwłaszcza u śpiewaków, którzy często występować muszą w zbrojach rycerskich, nie będących, mimo swej „teatral-

ności", wcale tak „lekkimi" jakby się to na pozór zdawało, lub też we futrach i t. d.

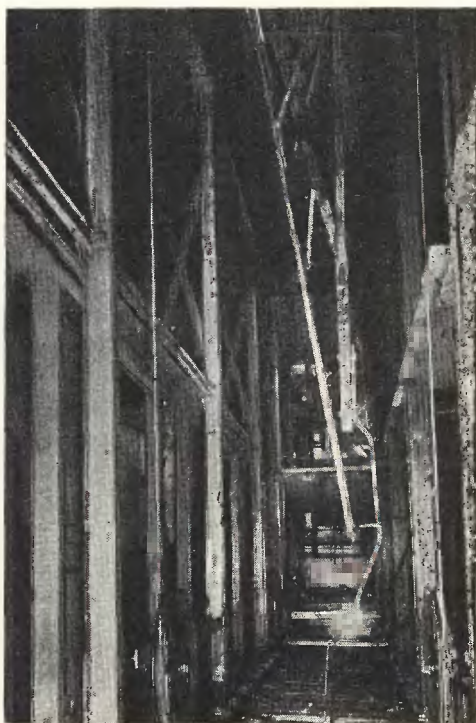
Wstąpmyż do jednej z garderob (oczywiście *męskiej!*) by zobaczyć, co się tam dzieje. Oto najciekawsza: garderoba *chórzystów*, w której przygotowanie do występu na scenę odbywa się — „sumerycznie". Zależnie od właśnie wystawianej opery, w pierwszej chwili masz wrażenie, że to jakiś obóz rycerzy średniowiecznych, albo naszej szlachty, zgromadzenie spiskowców, czy też chłopów włoskich, albo naszych górali. Obok nich zaś widzisz istoty na poły jeszcze nowoczesne, a na poły już przestoczone w ludzi innej epoki. Właśnie fryzjer zajęty jest odpowiedniem ich „ucharakteryzowaniem". Rola *fryzjera* w teatrze wogóle, a zwłaszcza w operowym, jest niemałej wagi. Tu poznaje się dopiero, że i ten zawód może być doprowadzony do wyżyn artysty. Od kunsztownie wykonanych peruk, bród, wąsów w niemałej mierze zależy odpowiednie ucharacteryzowanie artysty.

Przygotowanie tak wielkich mas ludzkich do występu na scenę wymaga oczywiście dużo czasu. To też na długo przed rozpoczęciem przedstawienia, całe bractwo chórowe musi być na posterunku. Ale i soliści i solistki zjawiają się w swych garderobach conajmniej na godzinę wcześniej. I oni bowiem zająć się muszą „ucharakteryzowaniem" swych twarzy i przywdzianiem odpowiednich kostiumów, w którym to ostatniem pomaga im liczna służba garderobowa. W czasie tej pracy rozlegają się z garderób najróżnorodniejsze „solfeggio": to śpiewacy i śpiewaczki „ćwiczą" swe głosy, podobnie jak członkowie orkiestry swoje instrumenty. W chwili zaś, gdy odzywiają się dzwonki elektryczne, dające sygnał, że przedstawienie się rozpoczyna, dziwny „prąd" przeszywa wszystkich, prąd, nazwany przez Niemców trafnie „*Lampenfieber*" — „febra kinkietowa", od której nie są wolni i największej sławy śpiewacy i śpiewaczki...

My zaś tymczasem, po zaznajomieniu się z „*Olimpem*" i „*Ziemią*" świata zakulisowego, schodzimy teraz do „*Hadesu*" t. j. w *podziemie* sceny operowej. Tu zdumienie nasze jest stanowczo jeszcze większe, niż w chwili, kiedyśmy rozejrzeli się po olbrzymich rozmiarów scenie, a zwłaszcza jej górnej części z zawieszonymi „na wysoko-

ściach" dekoracjami. Co bowiem w tych „podziemiach" oczom naszym się przedstawia, wygląda poprostu na jakąś gigantyczną — *fabrykę*. Wrażenie to wywołuje przede wszystkim dziwny spłot *żelaznych konstrukcyj*, wśród których roi się od *kół, transmisyj*, najróżnorodniejszych *maszyneryj*, ale także od mnogich części składowych *dekoracyj*, jak: sfinksów, posągów, dzwonów kościelnych, czarodziejskich grot i t. p. I mimowoli przychodzi nam na myśl niedawno u nas w Warszawie wyświetlany słynny film p. t. „*Upiór w Operze*".

Co to wszystko razem przedstawia? Otóż już starożytni Grecy umieli w swym pierwszym w dziejach ludzkości cywilizowanej teatrze posługiwać się w pewnych momentach specjalną machiną, a w szczególności, gdy dla rozwiązania „węzła tragicznego" na scenie miało się zjawić jakieś — bóstwo. (Stąd przysłowie łacińskie „*Deus ex machina*"). W naszym nowoczesnym teatrze technika tę machinę grecką rozszerzyła do nad-



W podziemiach Opery dokonywają się wszelkie techniczne „cuda"

zwyczajnych rozmiarów, odpowiadających wymogom wysoko rozwiniętej sztuki dramatycznej naszej doby. Zapomocą tej gigantycznej maszynerji, wydobywa się na scenę wszystkie tego rodzaju części składowe dekoracji, które bądź dla ciężaru swego, bądź też dla specjalnej konstrukcji i „ roli ” jaka im w danym utworze przypada, nie mogą w inny sposób się na nią dostać. Słu-

ży ta maszynerja wszelako także w wypadkach, gdy jakaś postać sceniczna ma „zapaść się w ziemię” lub też (jak np. w „Panu Twardowskim” Różyckiego) „wznieść się ku niebiosom”. Również i wszelkie inne fantastyczne zdarzenia na scenie operowej (zwłaszcza w baletach) możliwe są tylko dzięki tej maszynerji podziemnej.



ZNAM ZWIERZĘCIA

Rudyard Kipling

Tłumaczył W. Horzyca



Twoi bogowie czy moi —
wiemyż którzy są silniejsi?

Przysłowie krajowców.

Na wschód od Suez ustatuje w jakiś sposób bezpośrednia opieka Opatrzności. Ludzie dostają się tam pod władzę bogów i demonów Azji, a Opatrzność, której uczy kościół anglikański, ogranicza swą, przygodną zresztą, działalność do znacznie szerszego zakresu, gdy chodzi o Anglików. Ta prawda jest przyczyną niejednej zbytycznej okropności życia indyjskiego, co zaznaczyć należy, aby niniejsze opowiadanie było zrozumiałe.

Mój przyjaciel, Strickland, z departamentu policji, znający krajowców z taką dokładnością, jakiej nikomu już nie potrzeba, może wszystko zaświadczyć. Dumoise, nasz lekarz, również widział to, co widzieliśmy ja i Strickland. Lecz wniosek, jaki wyprowadził z pozorów, był najzupełniej mylny.

Teraz Dumoise już nie żyje, a umarł wśród bardzo dziwnych okoliczności, o czem opowiedziano już gdzie indziej.

Fleete przybył do Indji, by objąć zarząd niedużego majątku, w tem także posiadłości ziemskiej, niedaleko Dharmśala w Himalajach, którą odziedziczył po swym wuju. Był to mężczyzna wielki, ociężały, wesoły i beztroski. Jego znajomość krajowców była oczywiście bardzo ograniczona; skarżył się również, że nauka mowy nastęrcza mu trudności.

Przybył konno ze swej posiadłości w górach, by w stacji obchodzić Nowy Rok, i zamieszkał u Stricklanda. W wieczór sylwestrowy było w klubie wielkie przyjęcie, a przez całą noc bynajmniej nie wylewano za kołnier. Gdy zejda się ludzie z najdalszych krańców cesarstwa, nie dziw, że czują się wtenczas w prawie pozwolić sobie nieco. Pogranicza dostarczały kontyngentowi „straceńców”, którzy w ciągu roku nie widywali nawet dwudziestu białych, i byli przyzwyczajeni jeździć po piętnaście mil na obiad, ryzykując, że zamiast jedzenia i picia dostanie się im khyberska kula.

Chwilowego, niezwyklego bezpieczeństwa używali teraz na grę w bilard zwiniętym w kłębek jeżem, złapanym w ogrodzie, a jeden z towarzystwa nosił po pokoju tablicę markierską, trzymając ją w zębach. Pół tuzina plantatorów, przybyłych z południa, opowiadało kawalerskie anegdoty największemu kłamacy Azji, który starał się ich wszystkich, za jednym zamachem, zapędzić w kozi róg. Cały świat był tu reprezentowany; znikły różnice stopni i stanowisk, szczególnie, gdy zabrano się do przejrzenia spisu zmarłych, oraz tych, którzy w ostatnim roku stali się niezdolnymi do służby.

Była to suto oblewana noc; przypominam sobie, że śpiewaliśmy „Anld Lang Syne” ze stopami w wazie honorowej za grę w polo, z głowami wśród gwiazd, wzajemnie przysięgając sobie dożgonną przyjaźń. Później kilku z nas poszło zdobywać i zdobyło Birmę, inni próbowali wedrzeć się w tajnie Sudanu na czele „Fuzzie” i padli w onej straszliwej rzezi pod Suakinem, jedni uzyskali orderzy i medale, drudzy poženili się, co nie jest dobre, niektórzy wreszcie zrobili coś jeszcze innego, co jest jeszcze gorsze, reszta zaś została nadal w swych kajdanach i próbowała, przy bardzo niedostatecznym w tym względzie doświadczeniu, napęlić swe nazbyt chude sakiewki.

Fleete pił zaraz z wieczora sherry i gorzkie, potem, od początku obiadu aż do deseru — szampana, następnie cierpkie, drapiące w gardle a jak whisky silne Capri, do kawy pozwolił sobie benedyktynki, potem pięć czy sześć whisky z wodą sodową, by lepiej grać w bilard, o wpół do trzeciej pił piwo i „boneo”, a zakończył wszystko starem brandy. Nic więc dziwnego, że, gdy o wpół do czwartej nad ranem, przy czterestu stopniach zimna, wyszedł na powietrze, począł się pienić z wściekłości, gdyż koń jego kaszlał, i że w niezwykłych podrygach próbował dostać się na siodło.

Nasze drogi wiodły przez bazar, tuż obok małej świątyni Hammana, boga małp, który jest bóstwem wysokiego stopnia i godnem prawdziwego poważania. Wszyscy bogowie, jak wszyscy kapłani, mają też swe dobre strony. Ja, osobiście, cenię Hammana wysoko, a dla jego ludu, wielkich, szarych małp górskich, z pełnym jestem szacunkiem. Bo czyż można wiedzieć, kiedy i czyjej przyjaźni będzie się potrzebowało?

*

W świątyni było jasno, a gdy mijaliśmy ją, doszły nas hymny śpiewane przez męskie głosy. W tamtejszych świątyniach kapłani wstają w nocy co godzina, by oddać cześć swemu bogu. Otóż Fleete, zanim zdołaliśmy go powstrzymać, pobiegł schodami w górę, ku świątyni, dwóch kapłanów poklepał po ramieniu, a potem popiołem z ogarka swego cygara nasmarował znak na czole czerwonego, kamiennego posągu Hammana. Strickland próbował go odciągnąć,

lecz Fleete usadowił się wygodnie i przemówił uroczystym głosem:

„Widzicie? Znak zwierzęcia! Ja to zrobiłem! Świetne — co?”

W okamgnieniu świątynia ożywiła się i napełniła zgielkiem i hałasem. Strickland, który wiedział, co może wynikać z zbezczeszczenia bóstwa, szepnął, że może się nam coś jeszcze przydarzyć. Z powodu swego urzędowego stanowiska, długiego pobytu w tej okolicy i przyrodzonej skłonności do mieszania się między krajowców, był on znany kapłanom. To czyniło jego położenie niemiłym.

A Fleete siedział na ziemi, wzbraniał się powstać i powtarzał: „Ten stary, pocziwy Hamman, to doskonała poduszka do oparcia”. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, wypadła z zakamarka za posągami bóstwa jakaś postać, która wyglądała, jakby cała była srebrna. Mimo dokuczliwego, bardzo dokuczliwego zimna, była naga, a ciało jej jakby ze spłowiałego srebra, był to bowiem „trędowaty, biały niby śnieg”, jak mówi Biblja. Nie miał już twarzy, gdyż był trędowaty od wielu lat, a choroba wycisnęła na nim swe okropne piętno. My obaj schyliłszy się, by przemocą podnieść Fleete’a, tymczasem świątynia coraz bardziej napełniała się ludźmi, którzy wyrastali jakby z pod ziemi. Wtem „srebrzysty” przemknął się pod naszymi rękami, wydając przytem dźwięk podobny do miauczenia wydry, obydwoma rękami objął Fleete’a wpół i, zanim zdołaliśmy go odpędzić, przypadł do jego piersi. Potem cofnął się do swego kąta i usiadł, miauczając, gdy tymczasem tłum zamknął wszystkie drzwi.

Kapłani byli niesłychanie wzburzeni aż do chwili, gdy trędowaty dotknął Fleete’a. Ta pieszczota, zdawało się, uspokoiła ich.

Po kilku minutach milczenia jeden z kapłanów przystąpił do Stricklanda i powiedział najczystsza angielszczyzną: „Wyprowadźcie waszego przyjaciela. On załatwił się już z Hammanem, ale Hamman z nim — nie!” Potem tłum rozstał się, a my wyprowadziliśmy Fleete’a na ulicę.

Strickland pieniał się ze złości. Mówił, że mogli nas wszystkich trzech zakłuć nożami, a Fleete może dziękować tylko swej szczęśliwej gwieździe, że z tych oparów wyszedł cało. Fleete nie dziękował nikomu.



JAN MUCHARSKI/21

W świątyni było jasno...

mu. Powtarzał tylko, że chce spać. Był przecież zalany, jak nieboskie stworzenie.

Pojechaliśmy dalej; Strickland był zły i milczący. Natomiast Fleete'a opadły dreszcze i poty. Mówił, że od zapachów bazaru w nosie mu kręci, i dziwił się, że rzeźnie mogą leżeć tak blisko mieszkań Anglików. „Czy nie czujecie zapachu krwi?” pytał.

Zaczęło już dzień, gdyśmy go wreszcie położyli do łóżka, poczem Strickland zaproponował mi jeszcze jedną whisky z wodą sodową. Pijąc, mówił o skandalu w świątyni i wyznał, że go to całkowicie wyprowadziło z równowagi. Napawało go to odrazą, że krajowcy próbowali go zmystyfikować, gdy jego właśnie zadaniem było zwalczać ich wyższość własną ich bronią. Jak dotychczas, usiłowań swych nie zdołał uwieńczyć żadnym wynikiem; być może, że za jakie piętnaście albo dwadzieścia lat zrobi w tym względzie pewne nieznaczne postępy.

„Żeby nas byli zabili albo pokłuli nożami”, mówił, „zamiast obmiaukiwać! Chciałbym wiedzieć, co to miało znaczyć. Wcale mi się to nie podoba”.

Ja byłem zdania, że zarząd świątyni zapewne wytoczy przeciw nam skargę o obrazę religii, istnieje bowiem paragraf w indyjskim kodeksie karnym, który dokładnie odpowiada przestępstwu Fleete'a. Strickland odparł, że bardzo pragnąłby tego, i że ma nadzieję, iż tak się stanie. Odchodząc, raz jeszcze spojrzał na Fleete'a, który leżał na prawym boku i drapał się w lewą pierś. O siódmej rano i ja poszedłem spać, przeziębnięty, przygnębiony i smutny.

O pierwszej pojechałem do Stricklanda, by się dowiedzieć, jak się Fleete miewa. Że mu głowa ciążyła, to było zrozumiałe. Fleete siedział przy śniadaniu i czuł się niedobrze. Jego dobry humor minął; wymyślał teraz kucharzowi, ponieważ zanađto wysmażył mu befsztyk. Człowiek, który po tak suto oblewanej nocy może jeść surowe mięso, jest oczywiście curiosum. Powiedziałem to Fleete'owi, ale on się śmiał.

„Macie tu dziwne moskity”, rzekł. „Wygryzły mi kawałek ciała, ale tylko w jednym miejscu”.

„Pokażno, gdzie?” zapytał Strickland. „Od rana pewno skłęśło ci to”.

Smażono befsztyki, a tymczasem Fleete

rozpiął koszulę i pokazał nam znak tuż nad lewą brodawką, podobny zupełnie do czarnej rozety — pięć czy sześć nieregularnych płamek, jak na skórze lamparta. Strickland przypatrywał się temu i rzekł: „Dziś rano były tylko różowe. Teraz zczerniały”.

Fleete podbiegł do lustra. „Tam do diabła”, krzyknął, „to obrzydliwe! Co to jest?”

Nie mogliśmy dać mu na to odpowiedzi. W tej chwili przyniesiono befsztyki, czerwone i soczyste, a Fleete pochłonał z nich trzy w sposób nadzwyczaj nieprzyjemny. Żuł je tylko lewymi zębami trzonowymi, a gdy podnosił mięso do ust, zwracał głowę ku prawemu ramieniu. Gdy skończył, zdaje się zorientował się, że zachowywał się dziwnie, powiedział bowiem, jakby usprawiedliwiając się: „W życiu mojem nie byłem jeszcze tak głodny! Połknąłem wszystko, jak struś”.

Po śniadaniu Strickland powiedział do mnie: „Nie wychodź. Zostań tu na całą noc”.

Ponieważ od Stricklanda do mego mieszkania nie było nawet trzech mil, przeto zadanie to wydało mi się dziwne. Ale Strick-



Tam do diabła! — krzyknął — to obrzydliwe!

land upierał się i chciał właśnie coś dodać, gdy Fleete wpadł mu w rozmowę i, prawie zawstydzony, powiedział, że znów jest głodny. Strickland posłał do mnie po moją pościel i konie, a w międzyczasie zeszliśmy wszyscy do stajni, by przed przejażdżką zabić jakoś czas. Kto lubi konie, ten zawsze interesuje się tym tematem, a gdy dwu ludzi wda się w taką rozmowę, to ma sposobność wymienić sporo doświadczeń i kłamstw.

W stajni było pięć koni. Nie zapomnę nigdy tej próby obejrzenia ich. Zdawało się, że się nagle wściekły. Stawały dęba, kwiczały i omal nie powyrywały pali. Pot je oblewał, drżały, pienili się i szalały z trwogo. U koni Stricklanda, które znały go jak psy, było to szczególnie zdumiewające. Wyszliśmy ze stajni, bo obawialiśmy się, że w tej panice zwierzęta pozabijają się. Lecz Strickland wrócił po chwili i zawołał mnie. Konie były jeszcze przejęte trwogą, ale pozwalały się pieścić, głaskać i kładły nam głowy na piersi.

„One nie boją się nas”, powiedział Strickland. „Wiesz, dałbym moją trzymiesięczną pensję, gdyby „Outrage” mogła przemówić”.

Ale „Outrage” pozostała niemą i mogła tylko pieścić swego pana i rozdymać chrapy, jak to konie czynią zazwyczaj, gdy chcą coś powiedzieć, a nie mogą. Fleete wrócił do nas, gdyśmy byli jeszcze w stajni; skoro go zwierzęta zobaczyły tylko, znów wy-

buchła wśród nich trwoga. Musieliśmy prędko wyjść, by nie dostać kopytem. „Zdaje się, Fleete, że one nie lubią ciebie”, rzekł Strickland.

„Nonsens”, odparł Fleete, „moja klacz chodzi za mną, jak pies”. Podszedł do niej; stała w przedziale, w którym mogła się swobodnie poruszać. Lecz zaledwie odsunął rygiel, wyrwała się, powaliła go na ziemię i jednym susem znalazła się w ogrodzie. Roześmiałem się; lecz Strickland miał poważną minę. Obiema rękami chwycił się za wąsy i targał niemi, jakby chciał je powyrywać. A Fleete, zamiast wpędzić swą własność do stajni, ziewnął i powiedział, że jest śpiący. Poszedł więc do domu i położył się spać. Dziwny sposób spędzenia Nowego Roku!

Strickland usiadł ze mną w stajni i zapytał, czy w zachowaniu Fleete'a nie zauważyłem czegoś szczególnego. Odpowiedziałem, że pochłaniał jedzenie, jak zwierzę, ale przyczyną tego jest zapewne to, że mieszkam sam, w górach, zdala od wszelakiego dystygowanego towarzystwa, jak np. nasze. Lecz Strickland wciąż miał poważną minę; zdaje się nawet, że mnie nie słuchał, gdyż następne słowa dotyczyły znaku na piersi Fleete'a. Ja byłem zdania, że to nic innego, jak tylko ukąszenie muchy hiszpańskiej, a może występujące i teraz dopiero widoczne znamię. Że wyglądało to obrzydliwie, na to zgadzaliśmy się obaj, a Strickland dodał jeszcze, że jestem głupi.

„Nie mogę ci powiedzieć, co myślę o tem”, dodał, „bo uważałbyś mnie za warjata; ale jeśli możesz, zostań u mnie przez kilka dni. Chciałbym, żebyś się przypatrywał Fleete'owi, ale nie mów, co myślisz o tem, aż sam wyrobię sobie zdanie”.

„A więc dzisiaj wieczór nie będę jadł w domu”.

„Ja także”, odparł Strickland, „a Fleete również, o ile nie zmienił postanowienia”.

Przechadzaliśmy się po ogrodzie i paliliśmy, nic do siebie nie mówiąc, gdyż jesteśmy przyjaciółmi a rozmowa psuje smak dobrego tytoniu — aż skończyliśmy nasze fajki. Potem poszliśmy zbudzić Fleete'a. Nie spał i niespokojnie biegał po pokoju.

„Słuchajcie, muszę dostać jeszcze befsztyków”, odezwał się. „Czy można?”

Roześmialiśmy się i odpowiedzieliśmy mu: „Idź się przebrać. Wnet nadejdą pony”.



Jednym susem znalazło się w ogrodzie

„Dobrze”, odparł Fleete, „przebiorę się, gdy dostanę befsztyki — tylko wpółsurowe; zamówicie, proszę was”.

Miało się wrażenie, że mówi zupełnie poważnie. Była godzina czwarta a o pierwszej jedliśmy śniadanie; mimo to żądał znów befsztyków. Potem włożył kostjum do jazdy konno i wyszedł na werandę. Pony — jego klaczy nie zdołano schwycić — nie przypuścił go do siebie. Wszystkich trzech koni niepodobna było utrzymać — szalały z trwogi; wkońcu Fleete oświadczył, że zostanie w domu i każe sobie podać coś zjeść. Ja i Strickland odjechalismy zaniepokojeni: Gdy przejeżdżalismy obok świątyni Hanumana, wyszedł z niej trędowaty i począł na nas miauczeć.

„On nie jest rzeczywistym kapłanem tej świątyni”, rzekł Strickland. „Mam ochotę kazać go zamknąć”.

Galop nasz na placu wyścigowym nie odznaczał się tego wieczoru szczególnym ogniem. Konie były ospałe i jakby zmęczone długą jazdą.

„Zanadto im dogodził ten strach po śniadaniu”, rzekł Strickland. Była to jedyna uwaga, jaką rzucił w czasie jazdy. Raz, czy dwa słyszałem, jak kłął cicho, ale u niego to nic dziwnego.

Wróciliśmy już o zmroku, około siódmej. W bungalow nie świeciło się. „Co za niedbałe hultaje ta nasza służba!” Zawołał Strickland.

Wtem koń mój stanął dęba przed czemś, co leżało wpoprzek ścieżki, i nagle, nam tuż przed nosem, podniósł się Fleete.

„Czemu łazisz po ogrodzie?” zapytał Strickland.

Lecz obydwie konie skoczyły wbok i o mało nie zrzuciły nas z siodeł. Zsiadliśmy przy tajni i wróciliśmy do Fleete'a, który na rękach i nogach raczkował pod pomarańczowemi krzakami.

„Cóż, u diabła, dzieje się z tobą?” krzyknął Strickland.

„Nic, zupełnie nic”, odrzekł Fleete szybko i niezrozumiale. „Mam zajęcie w ogrodzie, wiecie, herboryzuję. Zapach ziemi jest cudowny. Chcę pójść na przechadzkę, na długą przechadzkę, na całą noc”.

Wtenczas zrozumiałem, że dzieje się coś dziwnego i szepnąłem Stricklandowi: „Dziś nie będę jadł poza domem”.

„Dziękuję ci”, odparł. „Hej! Fleete, wstańże, napytasz się jeszcze febry. Chodź do domu, na obiad. Zapalimy lampy i wszyscy będziemy jeść w domu”.

Fleete wstał niechętnie. „Tylko nie lampy, tylko nie lampy”, powiedział. „Tu jest o wiele przyjemniej. Jedźmy dziś na dworzec. I więcej befsztyków — bardzo dużo, a surowe — krwawe i łykowate”.

W grudniowy wieczór, na północy Indji, jest dobrze zimno, propozycja Fleete'a była więc szalona.

„Wejźno”, ostro odezwał się Strickland. „Natychmiast wejź!”.

Fleete wszedł do domu. Gdy przyniesiono lampy, zobaczyliśmy, że od stóp do głów był dosłownie pokryty błotem; musiał tarzać się w ogrodzie. Wzdrygnął się przed światłem i odszedł do swego pokoju. Strach było spojrzeć w jego oczy. Zielone światło tliło się za niemi, nie w nich, jeśli tak można się wyrazić, a dolna warga Fleete'a opadła.

„Coś złego się stanie, coś bardzo złego, i to tej nocy”, rzekł Strickland. „Zostań w tym kostjumie”.

Czekaliśmy, czekaliśmy na powrót Fleete'a, a w międzyczasie kazaliśmy podawać. Słyszeliśmy, jak Fleete tłukł się po swoim pokoju, ale światła nie zapalał. Nagle rozległo się z jego pokoju przedłgkie wycie wilka.

Nieraz z lekkim sercem mówi się o tem, że krew zastygła w żyłach albo, że włosy stanęły. Obydwa uczucia są zbyt straszne, by mówić o nich żartem. Teraz serce stanęło mi, jakby pchnięte nożem, a Strickland zbladł, jak ściana.

Wycie powtórzyło się a po chwili odpowiedziało mu inne, hen, na polach. To było ukoronowanie okropności. Strickland rzucił się do pokoju Fleete'a. Ja pobiegiem za nim i obaj zobaczyliśmy Fleete'a w chwili, gdy zamierzał właśnie wyskoczyć przez okno. Zwierzęce dźwięki wydobywały się z głębi jego gardzieli. Nie odpowiadał, gdyśmy do niego krzyczeli. Parskał tylko.

Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, co się potem stało, zdaje mi się jednak, że Strickland chłopcem do butów zadał mu cios, który go ogłuszył, bo inaczej nie mógłbym siedzieć na piersi Fleete'a. Fleete nie mógł mówić, mógł tylko warczeć, a jego warczenie było wilcze, nie człowiecze. Duch

ludzki w ciągu dnia zanikał w nim zapewne coraz bardziej, aż zgasł o zmroku. Teraz mieliśmy przed sobą zwierzę, które ongiś było Fleetem.

To, co się stało, leżało poza granicami wszelkiego ludzkiego rozumu i doświadczenia. Próbowaliśmy bąkać coś o „hydrofobji“, ale słowo to nie chciało mi przejść przez usta, bo wiedziałem, że było kłamstwem. Skrępowaliśmy zwierzę rzemieniem od punkah, związaliśmy mu wielkie palce u rąk i nóg, i zakneblowaliśmy mu usta rogłem do wkładania trzewików. Jest to bardzo skuteczny knebel, trzeba go tylko umieć właściwie użyć. Potem zawlekliśmy go do jadalni i posłaliśmy po lekarza, Dumoise'a, aby natychmiast przybył. Gdy odprawiliśmy posłańca i znów zaczerpnęliśmy oddechu, Strickland odezwał się: „To nic nie pomoże. To zadanie nie dla lekarza“. I wiedziałem, że mówi prawdę.

Głowa zwierzęcia leżała swobodnie i przewałała się to na tę, to na ową stronę. Gdyby był ktoś wówczas wszedł, mógłby być sądzić, że żywcem obłupiliśmy wilka ze skóry, i to jest najohydniejsze z wszystkiego, co mogę sobie przypomnieć. Strickland siedział z brodą wspartą na rękę i w milczeniu przyglądał się zwierzęciu, wijącemu się na podłodze. W czasie pasowania się z nim koszula rozsunała się mu szeroko, ukazując na lewej piersi czarną rozetę, która wystawała, jak pęcherz.

W ciszy, wśród której odbywaliśmy straż przy Fleetem, nagle usłyszeliśmy na dworze coś jakby miauczenie wydry. Oba porwaliśmy się, a ja — mówię tylko o sobie, nie o Stricklandzie — poczułem się chory, wprost fizycznie chory. Powiedzielśmy sobie, że to był kot.

Wreszcie przybył Dumoise. Nigdy jeszcze nie widziałem lekarza tak przerażonego, wbrew powinnościom swego zawodu. Oświadczył, że jest to straszny wypadek wściekłej, na którą niema rady. Środki uśmierzające przedłużyłyby tylko agonję. Zwierzę miało pianę na ustach. Powiedzielśmy Dumoise'owi, że raz czy dwa pokąsały Fleete'a psy; każdy zresztą, kto trzyma z pół tuzina terrierów, musi być na to przygotowany, że od czasu do czasu któryś z nich go ukąsi. Dumoise nie mógł udzielić żadnej pomocy, zapewnił tylko, że Fle-

ete umrze na wściekłość. Zwierzę zawyło właśnie, bo udało mu się wypłuć knebel. Dumoise dodał, że gotów jest stwierdzić oficjalnie, jaka jest przyczyna śmierci oraz oświadczył, że koniec jest bliski. Był to mały, poczciwy człowieczek, chciał koniecznie zostać z nami; ale Strickland odmówił. Nie chciał psuć mu zabawy noworocznej, prosił tylko, by narazie nie podawał do publicznej wiadomości prawdziwej przyczyny zgonu Fleete'a.

Lekarz opuścił nas, głęboko poruszony. Gdy umilkł turkot jego powozu. Strickland szeptem wyjawiał mi swe podejrzenie, które było tak niewiarygodne, że on sam nie ważył się go głośno powiedzieć. A ja, który w duchu podzielałem podejrzenia Stricklanda, wstydzilem się przyznać do tego i, udając, że nie wierzę, odezwałem się: „Nawet gdyby go srebrzysty zaczarował, za zbezczeszczenie posagu Hanumana, kara nie mogłaby nastąpić tak szybko“. Gdy mówiłem to szeptem, na dworze powtórnie rozległ się krzyk a zwierzę znów dostało ataku kurczów tak, że obawialiśmy się, by nie popękały postronki, któremi było związane.

„Pilnuj go!“ powiedział Strickland. „Gdy się to powtórzy sześć razy, biorę prawo w moje ręce i rozkazuję ci pomagać mi!“.

Potem poszedł do swego pokoju i wrócił z łufą starej dubeltówki, z kawałkiem linki rybackiej, kilkoma grubymi postronkami i ze swym niskim, drewnianym łóżkiem. Powiedziałem mu, że konwulsje następują zawsze w dwie sekundy po krzyku na dworze i że zwierzę widocznie osłabło. Strickland szeptał do siebie: „Ale życia nie może mu przecież zabrać! Życia zabrać nie może!“.

Odezwałem się, chociaż wiedziałem, że mówię wbrew memu przekonaniu: „To jest z pewnością Osz. Gdyby srebrzysty był winien temu, czy ważyłby się tu przyjść?“.

Strickland zapalił drzewo na kominku, włożył łufę w żar ogniska, na stole rozłożył sznury i laskę swą złamał na dwoje. Do obu jej części przywiązał z metr linki rybackiej, plecionej z kiszek i owiniętej drutem, jakiej używa się do połowu „masheerów“. Potem odezwał się: „Jak go złapię? Musimy go schwytąć żywym i całym!“.

Odpowiedziałem, że musimy zawieźć Opatrzności. „Wyjdziemy cicho, z laskami

do pola, i skryjemy się w zaroślach koło domu. Człowiek czy zwierzę, które ten krzyk wydaje, musi krążyć dokoła domu z regularnością warty nocnej. Będziemy czekać w krzakach, aż nadejdzie, potem rzucimy się na niego”.

Strickland zgodził się na to. Przez okna łazienki wysunęliśmy się na przednią werandę, a stamtąd, przez drogę kołową, w krzaki.

W świetle księżycy widzieliśmy, jak trędowaty wyszedł z za węgła domu. Był zupełnie nagi. Od czasu do czasu miauczał przeraźliwie i tańczył z własnym cieniem. Był to straszny widok, a gdy wyobrazilem sobie w tej chwili tego biednego Fleete'a, który przez tą ohydą poczwarę stracony został na dno poniżenia, pozbyłem się wszystkich skrupułów i postanowiłem pomóc Stricklandowi, zarówno rozpaloną lufą, jak i liną z guzami — wszędzie, gdzie trzeba, od pięt po czubek głowy, tam i z powrotem — wszelkimi torturami, jakich tylko będzie potrzeba.

Trędowaty przystanął na chwilę przed frontowymi drzwiami; wówczas my, z laskami w rękach, rzuciliśmy się na niego. Był niezwykle silny tak, że obawialiśmy się, by nam nie uciekł albo nie zranił się niebezpiecznie, zanim go ubezwładnimy. Sądząc, że trędowaci, to słabe stworzenia, ale okazało się, że tak nie jest. Strickland podbił mu nogi, on padł a ja postawiłem mu nogę na karku. Miauczał okropnie, a ja nawet przez podeszwę mego buta czułem, że ciało jego nie jest ciałem zdrowego człowieka. Bezskutecznie zamierzał się na nas kikutami swych rąk i nóg. Okręciliśmy go biczyskiem, związaliśmy mu je pod pachami i tak powlekliśmy go do przedsionka, potem do jadalni, gdzie leżało zwierzę. Tam skrępowaliśmy go rzemieniami. Nie bronił się, tylko miauczał.

Niepodobna wprost opisać rzeczy, gdy stawiliśmy go zwierzęciu do oczu. Zwierzę, wyprężone, jak łuk, rzucało się wtył, jakby zatrute strychniną i jęczało tak strasznie, że aż litość brała. Zdarzyło się przytem jeszcze wiele innych rzeczy, ale o tem pisać tu nie można.

„Zdaje się, że mam słuszność”, rzekł Strickland. „A teraz weźmiemy się do leczenia tego wypadku”.



*Nigdy jeszcze nie widziałem lekarza
tak przerażonego*

Trędowaty miauczał tylko. Strickland owinał sobie rękę kawałkiem materji i wyciągnął lufę z ognia. Ja przysunąłem odłamki laski przez guzy liny rybackiej i wygodnie przymocowałem trędowatego do łóżka Stricklanda. Wtenczas zrozumiałem, jak mężczyźni, kobiety i małe dzieci mogły znieść widok palonej żywca czarownicy. Zwierzę skamlało na podłodze, a chociaż srebrzysty nie miał twarzy, można było pod zastępującym mu ją kleistym służerem zauważyć wyraz rozlewającego się przerażenia, jak fale żaru przelewają się po rozpalonem żelazie np. lufy.

Strickland na chwilę zakrył oczy rękami; potem zabraliśmy się do dzieła. Lecz tego drukować niepodobna.

Zaczęło już dzień, gdy trędowaty przemówił. Dotychczas bynajmniej nie zadawało

nas jego miauczenie. Zwierzę omdlało z wyczerpania a w całym domu panowała cisza. Rozwiązaliśmy trędowatego i kazaliśmy mu wypędzić złego ducha. Poczłgał się do zwierzęcia i położył rękę na jego lewej pierś. Nic więcej. Potem srebrzysty padł twarzą ku ziemi, i skowyczał, głęboko wdychając powietrze.

Patrzyliśmy teraz na zwierzę i widzieliśmy, jak do oczu Fleete'a wraca dusza. Czoło jego pokryło się potem a oczy — były to znów oczy ludzkie — zamknęły się. Czekaliśmy godzinę. Fleete spał. Wówczas zanęśliśmy go do jego pokoju i kazaliśmy trędowatemu odejść. Daliśmy mu łóżko, koc, by okrył swą nagość, rękawiczki i szmaty, któremi dotykaliśmy go, wreszcie biczyisko, którym go wiąźaliśmy. Owinął się w koc i, nie mówiąc nic ani miauczając, odszedł, w brzask wczesnego poranka.

Strickland otarł czoło i usiadł. Daleko, w mieście, nocny gong wybił siódmą. „Akurat dwadzieścia cztery godziny”, powiedział. „Zrobiłem dość, by zapewnić sobie zwolnienie ze służby, a przy tej sposobności może i stałą kwatere w szpitalu dla obłąkanych. Czy ty nie jesteś zdania, że my śnimy?”

Rozżarzona lufa upadła na podłogę i osmałiła dywan. Nie — ten zapach był najzupełniej realny.

O jedenastej poszliśmy do Fleete'a, by go obudzić. Zauważyliśmy, że czarna rozeta na jego piersi znikła. Był zmęczony i jeszcze zaspany, ale gdy nas zobaczył, zawołał: „O, do diabła, chłopcy! Życzę wam wesołego Nowego Roku! Tylko, na litość boską, nie mieszajcie nigdy trunków. Ledwo przez to żyję!”

„Dziękuję ci za uprzejmość”, odparł Strickland, „ale spóźniłeś się. Dzisiaj mamy już drugiego. To się nazywa przespać się należycie!”

Drzwi się otworzyły i mały Dumoise wsunął głowę. Przyszedł pieszko; przypuszczał, że gotujemy się złożyć Fleete'a do trumny.

„Przyprowadziłem pielęgniarkę”, powiedział. „Przypuszczam, że potrafi zrobić wszystko, co potrzeba”.

„W każdym razie chcielibyśmy tę pielęgniarkę zobaczyć”, zawołał wesoło Fleete, siadając na łóżku.

Dumoise oniemiał. Strickland wyprowa-

dził go i powiedział mu, że djabłozna była widocznie mylna. Dumoise nie powiedział ani słowa i szybko wyszedł. Był zdania, że padła płama na jego sławę lekarską a z oczyszczenia jej chciał zrobić osobistą sprawę. Strickland wyszedł również. Gdy wrócił, opowiedział mi, że był w świątyni Hanumana i oświadczył gotowość zadośćuczynienia za zbezczeszczenie boga. Zapewniono go jednak uroczyście, że posagu bóstwa nie dotknął nigdy żaden biały człowiek; a on, Strickland, jest z pewnością uosobieniem wszystkich cnót, lecz cierpi na przywidzenia”. „Co powiesz na to?” dodał Strickland.

Powiedziałem: „Jest więcej rzeczy...”

Ale Strickland nienawidzi tej cytaty. Twierdzi, że ją wyświechtalem.

Zdarzyło się coś jeszcze, co przemieniło mię na równi prawie z wypadkami ostatniej nocy. Gdy Fleete wszedł do jadalni, począł wietrzyć nosem. Ma on dziwny sposób poruszania nazdrzami, gdy to robi.

„Macie tu jakiś okropny psi zapach”, odezwał się. „Powinniście się lepiej zaopiekować swemi terrierami. Sprobuj siarki, Strick”.

Strickland nic nie odpowiedział, tylko schwycił za poręcz krzesła i gwałtowny spazm płaczu wstrząsnął jego ciałem. Straszna to rzecz patrzeć, jak płacze silny mężczyzna. Zrozumiałem wówczas, że w tym pokoju walczyliśmy o duszę Fleete'a, że poniziliśmy się jako Anglicy; i ja również zacząłem śmiać się, dyszeć i rzezić spazmatycznie, a Fleete myślał, żeśmy obaj powarjowali. Nigdy nie powiedzieliśmy mu, cośmy dla niego zrobili.

W kilka lat później, gdy Strickland ożenił się i z miłości dla żony stał się poprawnym i przykładowym członkiem społeczeństwa, omówiliśmy spokojnie ten dziwny wypadek, a Strickland podsunął mi myśl ogłoszenia go.

Jeśli o mnie chodzi, nie sądzę, by ogłoszenie go mogło mieć znaczenie; bo, po pierwsze, nikt nie wierzy chętnie w niemiłe zdarzenia, po drugie, każdemu rozumnemu człowiekowi wiadomo, że bogowie pogańscy są z kamienia i spizu, a każda próba uważania ich za coś innego byłaby pozbawiona wszelkiego sensu.

Z TEKIHU
Dobrodziej

(Obrazek z nieda



Posiedzenia Parlamentów odbywać się będą bez obstrukcji i rękoczynów - Poseł przemawiać może nawet z wanny!



Członek kasy chorych będzie mógł pokazać doktorowi język bez wystawiania przez parę godzin w ogonku!

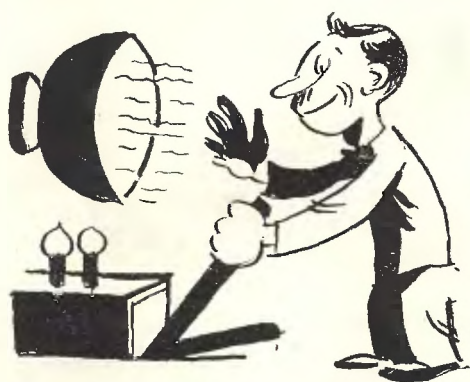


Pigułki witamino-tłuszczowo-węglowodanu, przy jednoczesnem zastosowaniu wachawki radio-niuchofonu, połączonej z falą kuchni centralo-gastronomij, udostępni rokosze kulinarne najwzruszającym masom smakoszków!

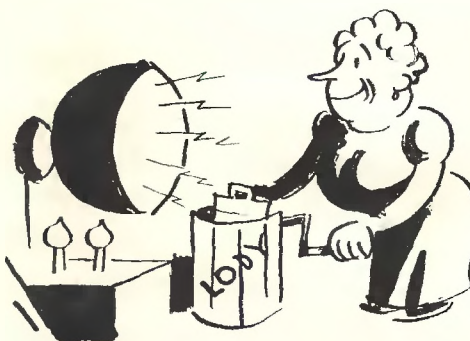
MORYSTY

stwa radja

lekkiej przyszłości!



Regulacja temperatury odbywać się będzie za pomocą gorących fal z Afryki, w zimie



Lub zimnych fal z Alaski, w lecie



11 M. M. M.

Nie będzie też więcej cierpiących na bezsenność. Telewizjon połączony z jednym z teatrów miejskich - usypiać będzie każdego już nie w teatrze lecz „loco łożko”!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POZATURNIEJOWE ZADANIA KRZYŻOWE

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 5

„Naokoło Świata” Nr. 24.

Krzyżówkę Włodzimierza Galstera z Davos Platz w Szwajcarii podaliśmy przez nieopatrznie w nieco błędnym ujęciu rysunkiem, co raczą nam nasi Czytelnicy wybaczyć, jako i my z największą satysfakcją przyjęliśmy do wiadomości wszystkie nadesłane rozwiązania. Miło nam pozatem ucieszyć zwolenników naszego działu wiadomością, iż redakcja „Naokoło świata” poleciła kierownikowi działu nagrodzić w jej imieniu wszystkich bez wyjątku rozwiązujących 5 krzyżówkę pozaturniejową nagrodami specjalnymi, o czym patrz dalej. A więc tym razem lista nagrodzonych przedstawia się jak następuje:

ZAGRANICA:

Francja — Paryż: Smirnow Mikołaj, Te-ka;
Litwa — Kowno: Warski Ignacy, Zaremb-ski Leon;

Szwajcaria — Davos Platz: Galster Włodzimierz;

Ukraina — Kijów: Srebrzyński Aleksan-der, Szekun Tatjana, Wolfman Maurycy.

POLSKA:

Albertyn: Lipowski Józef, Osmak Aleksander;

Augustów: Chmielewska Wanda;

Biała Podlaska: por. Symonowicz Włady-sław;

Biezanów: Legierski W.;

Biłgoraj: Grot-Gisges Wiesław;

Boćmowa: Jassek Rudolf;

Boreml: Nitkiewicz L.;

Brześć n/B: Kantorski Józef, Sopoćko Z.;

Busko: „Profanka”;

Bydgoszcz: Sajdakowa Jadwiga, dr. Świą-tecki Stefan;

Chełm: por. Giutner Mieczysław;

Chodecz: Szymankiewicz Wanda;

Ciechanów: Sadowska Julitta;

Czarnków: Marcinkiewicz Jan;

Częstochowa: Guzowski Marjan, Modliń-ski K., Rachwałikówna Janina;

Dąbrowa G.: Nowak Jan, Vielrose Leon;

Dobrzelin: Kwiekowska Jadwiga;

Dołęgi: Leczczynska Wanda;

Drohobycz: Psarska Zofja;



Rozwiązanie krzyżówki 5 wykonane przez
p. Andrzeja Filka z Krakowa

Dzwiniacz: Wartanowicz Józef;
Gostyń: Wojciechowski C.;
Grodno: Budkiewicz Zygmunt, Chojnacki Bogdan;
Grudziądz: Jastrzębska Władysława;
Janina: Pytko Marjan;
Janostów: Szewczykowa Bronisława;
Janów: dr. Tołwiński Konrad;
Kalisz: Chojnowski Adam, Szczerba Władysław;
Katowice: Mola Alojzy, Widuchowska W.;
Kazimierz n/W.: Jaworowski Jan;
Kielce: Chmieliński Władysław, Staweta H.;
Koło: Jankowski Leon;
Konin: Baranowicz Franciszek;
Konkołniki: dr. Prachtel Juliusz;
Koronowo: Wende W.;
Kościan: Chojecka Janina;
Kraków: Czachowski Kazimierz, Filek Andrzej, Mossoczówna Hanna, Soćki Wincenty, Spisak Jan, Tara Józef, Woźnicki Konrad;
Krośniewice: Gandziarek Władysław, Kluziński Roman;
Kruszyn: Karbowska Maryla;
Kutno: Motylewski Michał;
Lublin: Dowgird Michał, Goldszajn Natan, Jaworowski Rajmund, Orłowska Jadwiga, por. Ruśkiewicz Jan, Tański Kamil, Tołwiński Zygmunt;
Lwów: plk. Ajdukiewicz Adam, Aman Zbigniew, Boner Władysław, „Chabry”, Kamiński Edmund, Nagórski Wacław, Zadoriski Żorż;
Łańcut: Bieniaszówna Marja;
Łęczycza: Zawada Stanisław;
Łódź: Birger N., Darska J., Kausik Edmund, Orzeł Kazimierz, Pruszczyński R., Różycka Jadwiga, inż. Salm Jan, Saurer Stella, Świder Atanazy, Ulrych Br., Wiśniewski Ludwik, Wolczyński Mieczysław;
Mielec: prof. Kawa Władysław;
Mielnik: W. Jerzy;
Nieśwież: Lucyfer Jan;
Nowy Dwór: Ławreszyk Aleksander;
Nowy Sącz: Śliwa Kazimierz, Świdorski Bolesław;
Osiężyn: Olszewski W.;
Ostrów: Andrzejewski Stanisław;
Otorowo: ks. Janksz Leon;
Pabjanice: Godlewski Władysław;

Pińsk: Kaliszewski Antoni, Pawłowicz Edwin;
Piotrków: Kułnke E., Przechadzka Łucja, Tamilin W.;
Płock: Koiszewska Musia;
Podniestrzany: Starzewski Stefan;
Poznań: Bartkowski Henryk, Chojnowski Mieczysław, Henke Józef, Karge Czesława, Kozłowska Maryla, Miłowski Edmund, Sławińska Irena, Tatkiewicz Bolesław, W-Osk;
Praszk: Kiepuski Tadeusz;
Pruszków: Bagdach Konrad, Łazarek Władysław;
Przemyśl: Pyska Władysław;
Przysieka Stara: Delimatowa;
Pułtusk: Kazimierski L., Kraszewski Henryk;
Pysznica: Pomiankowska Stefanja;
Radom: Gruber Jerzy, Sobieraj Stanisław, Strusińska Jadwiga;
Rypin: Schmitt Janina;
Sandomierz: Koseła Roman;
Sarny: Kołodziej Medard;
Skarżysko: Winnicki E.;
Skawina: Bigajski Józef;
Skierniewice: Gawron Jan;
Słonim: Widuchowski Karol;
Słupiec: Śmiałowski Michał;
Smardzewice: ks. Arlitewicz Julian Ludomir;
Sosnowiec: Pillich T., Stratiłato Jan;
Stępnica: Bratnia Pomoc Gimn.;



Rozwiązanie krzyżówki 5 wykonane przez
 p. Irenę Modzelewską z Myszkowa



Rozwiązanie krzyżówki 5 wykonane przez
por. Piotra Wojciechowskiego z Warszawy

Suwałki: chor. Biekielewski Franciszek;

Świnice Wartskie: Kornelion W.;

Tarnopol: Jetschin Kamila;

Tarnów: Jakus Ludwik, Kołodziej Tadeusz;

Tomaszów M.: Guzik Kazimierz;

Toruń: Karab'n Alojzy, Lesserowa A., kap. Menzel Józef, Skwarczyńska Ilona, Szczerbowska Wanda, Zan Wacław;

Trzebieca: Massajada Jan;

Warszawa: Bayer Wacław, Bironowa Wanda, Ciszkievicz Henryk, Darowska Zofja, Dębczyński Józef, Domagała Tadeusz, Dzierżyńska Zofja, Ener Wł., płk. inż. Filipowski St., Gorski Wacław, Herbstmanówna Dorota, Jarosławski Gustaw, Jaworski Stanisław, Kamińska Halina, Kamińska Zofja, Kaśńska J., Kochlewski Radosław, Konieczny Franciszek, Kopec Władysław, Kozłowski Czesław, Krzyżanowski Juljusz, inż. Landau Jan, Liwska Marja, „Luba“, Luwies Halina, Łecka, Noakówna Stanisława, Nowicki Wiesław, Nyczke Jan, Osiecki K., Pragier Konrad, Prejbiszowa Z., Puchowicz Janusz, Ra-z Jan, Richling Wiesława, Rogowicz H., Ruciński Juljusz, Surdykowski Kazimierz, Szlajfstałn Stanisław, Teitelbaum Wacław, Tietz Zygmunt, Weroczy Roman, Wyczółkowski Maciej, Zarzycka Aniela, Zieleniewska Hanna, Zieleniewski Jerzy;

Wilno: Ciołkowiczowa Anna, Farbotko Józef, Gedym'in K., Hermanowicz Jerzy, Kraszewski W., Perkowski Wilhelm, Plewińska Apolonja, Rudnicki Kazimierz;

Wizna: Dardziński M.;

Włodzimierz: Przybyła Otton;

Wolkowysk: Szumski Konrad;

Zakopane: Braumanowa Halina, Ciesielski A., Deneka Józef (†);

Zambrów: Sadowski Eugenjusz;

Zamość: Enderówna J.;

Złoczów: por. Budryk A.;

Zawiercie: Banasiówna Władysława, Głodkowski Aleksander, prof. Rączkowa Janina, Straszakówna Natalja;

Żarszyn: Pazurkiewiczówna Marja;

Żyrardów: Bezkowski Zygmunt, Jaworowska Wanda, Karafiński J., Krauzówna Jadzia, Rykowska Halina;

Żywiec: Karmański Stefan.

Nagrody otrzymali drogą losowania:

„Kaszgarja” **Grąbczewskiego** — pp. dr. Juljusz Prachtel z Konkolnik i Br. Ulrych z Łodzi;

„Przez Pamiry” **Grąbczewskiego** — pp. Gustaw Jarosławski z Warszawy i Rajmund Jaworowski z Lublina;

„W pustyniach Raskemu” **Grąbczewskiego** — pp. płk. Adam Ajdukiewicz ze Lwowa i A. Ciesielski z Zakopanego;



Rozwiązanie krzyżówki 5 wykonane przez
p. Jana Stratilato z Sosnowca

„Fata Morgana“, tygodnik poświęcony rozrywkom umysłowym — **miesięczna gratisowa prenumerata** — wszyscy, którzy rozwiąali 5 krzyżówkę pozaturniejową.

Z pośród nadesłanych rozwiązań umieszczamy na łamach b. numeru wyróżnione prace:

- p. **Andrzeja Filka** z Krakowa;
- p. **Ireny Modzelewskiej** z Myszkowa;
- p. **Jana Stratilato** z Sosnowca;

por. **Piotra Wojciechowskiego** z Warszawy.

Nie mniej piękne rozwiązanie nadesłał p. **Jan Lucyfer** z Nieświeża, jednak ze względów technicznych (praca wykonana w kółkach) nie możemy zamieścić w dziale.

Pp. **Filek, Lucyfer, Modzelewska i Wojciechowski** otrzymują od wydawnictwa po egzemplarzu „Miss Ket, mordercy“ **Zdzisława Kleszczyńskiego** z własnoręcznym podpisem autora, zaś p. **Stratilato** — „Pod zwrotnikami“ **Antoniego Słonimskiego** z autografem.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 6.

„Nakoło Świata“ Nr. 26.

Rekord abstynencji!... Krzyżówkę **Jana Stratilato** pokonało **mniej-więcej** zadawał-niająco tylko następujących 13 matadorów:

- Dobrzeliń:** Kwiekowa Jadwiga;
- Kalisz:** Chojnowski Adam;
- Konin:** Baranowicz Franciszek;
- Kraków:** Filek Andrzej, So-cki Wincenty;
- Piotrków:** Kuhnke E.;
- Warszawa:** Darowska Zofja, Herbstmanówna Dorota, Kozłowski Czesław, inż. Landau Jan, Tietz Zygmunt;
- Wola Filipowska:** Dolaisówna Janina;
- Zawiercie:** prof. Rączkowa Janina.

Nagrodzeni proszeni są o porozumienie się z kierownikiem działu **Jarosławem Kotwiczem**: zamiejscowi listownie, miejscowi —

Nagrody otrzymali drogą losowania:

„Wycinanki“ **Makuszyńskiego** — pp. **Dorota Herbstmanówna** i inż. **Jan Landau** z Warszawy, oraz **Wincenty So-cki** z Krakowa.

„FATA MORGANA“, tygodnik poświęcony rozrywkom umysłowym — **kwartalna gratisowa prenumerata** — wszyscy, którzy rozwiąali 6 krzyżówkę pozaturniejową.

Z pośród nadesłanych rozwiązań umieszczamy na łamach działu **jedną jedyną** wyróżnioną pracę p. prof. **Janiny Rączkowej** z Zawiercia, za co otrzymuje „Białe noce“ **Zdzisława Kleszczyńskiego** z autografem.

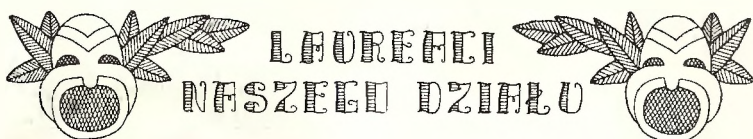


JANINA RĄCZKOWA
Zawiercie

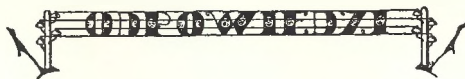
Rozwiązanie krzyżówki 6 wykonane przez
prof. Janinę Rączkową z Zawiercia

osobiście (w poniedziałki od 2 do 3 w lokalu redakcji „Naokoło Świata”), celem podjęcia przyznanych nagród; zamiejscowi winni podać dokładny adres, pod którym nagrody zostaną niezwłocznie wysłane. Poza-

tem prosimy nagrodzonych o łaskawe nadesłanie swych podobizn celem umieszczenia na łamach „Rozrywek Umysłowych” w poddziale „Laureaci naszego działu”.



1. P. Stanisława Delimatowa z *Przysieki Starej*; 2. P. Hanna Mossoczówna z *Krakowa*; 3. P. Władysław Gandziarek z *Krośniewic*; 4. P. Franciszek Baranowicz z *Konina*; 5. Inż. Jan Salm z *Łodzi*; 6. Prof. Janina Rączkowa z *Zawiercia*.



(108). Kowalska H. — Warszawa. Złośliwość kierownika jest przeważnie natury nie osobistej — tu poprostu przydałoby się zwierciadło. Co do mistyfikacji na rachunek *Figielka* pisze Pani podkreślając pewnym tonem a chwiejną linią: „St. Żeromski nigdy i nic w „Naokoło Świata” nie drukował!” Naprawdę?... Niech-że Pani uważnie przejrzy Nr. 10 (Luty 1925) naszego miesięcznika, tym razem od początku i uważnie. No i jak Pani wygląda?!...

(109). Pyska W. — Przemyśl. Adnotacja — „Próbował rozwiązać” — rozbroiłaby naj-

bezlitośniejszego profesora, cóż dopiero skromnego kierownika, skromnego działu, tembardziej, że próba prawie całkowicie się Panu powiodła; ma Pan cały komplet punktów! Dziękujemy za sympatyczny liścik.

(110). Stratiłato J. — Sosnowiec. Możemy Panu służyć pliką krytyk, będą to jednak — jak to zwykle bywa — przeważnie krytyki *nierzeczowe* — poco psuć zdrowiel... Z przyjemnością poznamy „osobistą ambicję” Pana, zwłaszcza, że sprawa punktów znajduje się na jaknajlepszym torze.

J. K.

CITROËN

NAJLEPSZY
Z NAJTAŃSZYCH
Samochodów

Fabryki w Paryżu,
Medjolanie i Slongh (Anglja)

REPREZENTACJA NA POLSKĘ

Austro-Daimler

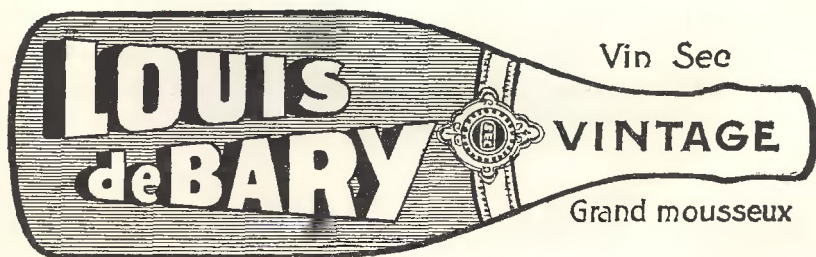
Sp. Akc.

Warszawa, Wierzbowa 6.

Poznań, Św. Marcin 48.

Kraków, Sławkowska 11.

Gdańsk, Kohlenmarkt 6.



Korzystaj z komunikacji powietrznej

Samoloty kursują codziennie do
Lwowa, Krakowa, Gdańska, Wiednia



Zarząd Polskiej Linji Lotniczej

NOWY-ŚWIAT 24, TEL.: 9-00, 8-50